



Spis treści

| | |
|--------------------------------------|----|
| NA POCZĄTEK | 2 |
| Radio Romans | 3 |
| Jestem aniołem | 7 |
| Droga na wielką scenę | 11 |
| Metrem na Broadway | 13 |
| To nie ja skradłam niebo | 19 |
| Fani - lek na całe zło | 22 |
| Ucieczka | 25 |
| Bo oszaleli dla niej | 28 |
| Ojciec wypadł jak trup z szafy | 31 |
| Pora na Paula | 33 |
| Ameryki nie odkryła | 35 |
| Polska o mało nie zginęła | 37 |
| Wysłałam za męża. Zaraz wracam | 42 |
| Roztrwoiła fortunę | 46 |
| Pomarańczowy powrót | 48 |
| Kalendarium | 51 |
| Sprzedaż albumów Edyty Górniak | 52 |
| Fotografie | 52 |

NA POCZĄTEK

Edyta Górniak to postać, wobec której nikt nie jest obojętny. Ta piękna kobieta obdarzona wyjątkowym talentem dzieli Polskę na pół. Na tych, którzy ją kochają, i tych, którzy jej nie cierpią. Mnie zafascynowała, od kiedy ją poznałem w 1994 roku. Ta książka narodziła się z tysiąca pytań, jakie zadawałem sobie, obserwując jej karierę i życie prywatne. Bo i jedno, i drugie w wydaniu Edyty to prawdziwa brazylijska telenowela.

Pomysł na książkę o piosenkarce przyszedł mi do głowy pięć lat temu. Przez jej ówczesnego menedżera spytałem ją, czy byłaby zainteresowana współpracą. Po kilku tygodniach dowiedziałem się, że Edyta nie mówi nie, ale konkretna odpowiedź nigdy nie nadeszła.

Rok temu, bombardowany medialnymi doniesieniami z życia prywatnego i zawodowego piosenkarki, postanowiłem, że książka powstanie nawet bez udziału samej bohaterki. Nie było to łatwe. Przez 15 lat

swojej zawodowej pracy artystka obracała się w wielu środowiskach. Musiałem porozmawiać z dziesiątkami osób. Dotarcie do nich nie było proste, ale jeszcze trudniej było ich namówić na szczerą rozmowę. Ponieważ wielu z nich do dziś pracuje w branży muzycznej, często nie chcieli oni wystąpić pod nazwiskiem. Stąd wiele wypowiedzi anonimowych. Niektóre z nich wydawały mi się wręcz niewiarygodne. Jednak już po kilku rozmowach bez trudu potrafiłem rozszyfrować, kto dobrze znał Edytę, a komu tylko tak się wydawało. Ci, którzy ją dobrze znali, mieli zwykle na jej temat podobne spostrzeżenia, tak samo czuli się przez nią wykorzystywani i manipulowani.

Pisząc tę książkę, wielokrotnie miałem dylemat, jak daleko mogę się posunąć w opisywaniu życia prywatnego gwiazdy. W pewnym sensie granice wyznaczyła ona sama. Uznałem, że powinienem napisać o wydarzeniach, ludziach i związkach, o których publicznie opowiadała Edyta. W swych licznych wywiadach przez lata obrzucała ona błotem swych byłych mężczyzn, współpracowników, menedżerów, przyjaciół... Niemal zawsze przedstawiała się, jako ich bezbronna ofiara. Teraz wielu z nich po raz pierwszy postanowiło publicznie przedstawić swoje wersje wydarzeń. Czytelnik sam będzie mógł się przekonać, jak bardzo różnią się one od tego, o czym wcześniej opowiadała Edyta Górniak.

Radio Romans

Wyszedłem spod prysznica i wślizgnąłem się pod kołdrę. Chciałem przytulić Edytę, ale nie reagowała. Spojrzałem na nią. Była półprzytomna. Gdy pod łóżkiem zauważyłem pustą buteleczkę po tabletkach, wszystko było jasne. Chwyciłem słuchawkę i zadzwoniłem na pogotowie - opowiadał swemu przyjacielowi Robert Kozyra, po tym, jak Edyta Górniak próbowała popełnić samobójstwo.

To była noc z piątku na sobotę. Robert próbował ją cucić, ale ona nie dawała znaków życia. Tymczasem dyspozytorka pogotowia nie chciała wystać karetki.

- Proszę wlewać w żonę jak najwięcej wody - zaleciła.

Kozyra tłumaczył, że nigdy nie był w podobnej sytuacji i sam sobie nie poradzi. Bezskutecznie. W końcu użył argumentu, że chodzi o osobę publiczną.

- Jeśli nie przyjedziecie, będzie afera! - ostrzegł. Karetka przyjechała po kilku minutach.

Gdy panowie z noszami wpadli do mieszkania, Edyta nagle się ocknęła. Mimo to, zabrano ją do szpitala.

Trafiła na izbę przyjęć około pierwszej nad ranem. Gdy chciano ją przewieźć na oddział, Kozyra zdecydowanie zaprotestował. Nazwisko „Górniak” zdążyło bowiem zelektryzować personel, który zbiegł się, by zobaczyć gwiazdę. I tak już wystarczająco przerażony sytuacją Robert zaczął się dodatkowo bać, że cała sprawa przedostanie się do mediów. Jako szef Radia Zet, jednej z największych ogólnopolskich stacji w kraju, oczami wyobraźni widział tłumy fotoreporterów przed szpitalem.

Po pertraktacjach pozwolono pacjentce zostać w służbowym pokoju personelu. Lekarz polecił płukanie żołądka, ale Górniak zdecydowanie odmówiła. Wówczas kazano jej pić dużo wody, by zwymiotowała. Po wielu wysiłkach udało się jej zwrócić... jedną tabletkę.

Lekarze podłączyli Edytę do kroplówki i zalecili pozostanie do siódmej rano na obserwacji. Kozyra, wiedząc, że o tej porze panuje w szpitalu duży ruch, uprosił, by piosenkarka mogła wyjść dwie godziny wcześniej. Tymczasem o wypadku Edyty dowiedzieli się pracownicy stacji Kozyry. Powiadomił ich lekarz, który zadzwonił na czerwony telefon Zetki. Słuchacze przekazują tam różne newsy, dostając za to pieniądze. Mają przy tym prawo do zachowania anonimowości. Robert był wściekły - Zrozumiał, że wpadł we własne sidła.

W dodatku, że rano zadzwonił do niego Artur Iwan, ówczesny agent gwiazdy.

- Telefonują dziennikarze z innych redakcji. Pytają czy to prawda, że Górniak próbowała popełnić samobójstwo - alarmował.

Żeby uniknąć skandalu, na potrzeby prasy ustalono oficjalną wersję całego zdarzenia: artystka znalazła się w szpitalu, bo przez pomyłkę wzięła lekarstwa prezesa Zetki.

Następnego dnia Górniak miała lecieć do Londynu na nagranie piosenki do filmu „Mulan”. Kozyra

powiadomił o wszystkim brytyjskiego producenta utworu, Chrisa Neila.

- Edyta jest w fatalnym stanie. Nie sądzę, żeby była w stanie pracować. Uważaj na nią - prosił.

W niedzielę po południu zawiózł artystkę na lotnisko. Widać było, że Górniak jest w depresji. Na pożegnanie ledwo wykrztusiła z siebie parę słów. Jednak wieczorem do Kozyry zadzwonił z pretensjami Neil.

- Przez ciebie o mały włos nie odwołałem nagrania! Tymczasem Edyta jest w świetnym nastroju. Śmieje się, opowiada dowcipy, fantastycznie śpiewa. Na drugi raz nie rób sobie takich żartów - mówił. Całe zdarzenie dało Kozyrze do myślenia. Czy Edyta jest z nim do końca szczerą? Czy nim nie manipuluje? Zdał sobie sprawę, że choć od pięciu miesięcy są parą tak naprawdę niewiele o niej wie.

Poznali się rok wcześniej, w 1997 roku w Londynie. Do studia, w którym nagrywała swą pierwszą anglojęzyczną płytę, zaprosił go Wiktor Kubiak, wieloletni menedżer artystki. Potem we trójkę zjedli lunch. Edyta siedziała bardzo blisko Kozyry i wyraźnie go uwodziła. Jej ręka co jakiś czas lądowała na jego kolanie. Rozmawiali o muzyce, przede wszystkim o powstającej płycie. Powstał pomysł, by Edyta udzieliła Radiu Zet wywiadu. Szczegóły mieli ustalić później.

Po kilku dniach Kubiak zadzwonił do Kozyry, który zdążył już wrócić do Warszawy.

- Skoro tak dobrze wam się gadało, może byś zrobił ten wywiad osobiście - zaproponował.

Szef Zetki znowu przyleciał do Anglii. W trakcie rozmowy Edyta wyznała mu, że na siedem dni przed koncertem nie uprawia seksu, bo to źle wpływa na jej struny głosowe. Zwierzyła się też, że pod tym względem najbardziej wyrozumiałą jest jej ówczesny partner Piotr Krasko. Wszystko opowiedziała do mikrofonu.

Kozyra zdał sobie sprawę, że ma hita. Dzięki tej opowieści ludzie będą pamiętać jego wywiad do końca kariery piosenkarki. Postanowił, że skandalizujący fragment wyemituje kilkakrotnie w radiu jako zapowiedź całej rozmowy. Ponieważ Edyta do niego często dzwoniła, postanowił skonsultować z nią swoją propozycję.

Trzeba przyznać, że zrobił to sprytnie.

- Zgodnie z prawem nie muszę cię pytać o zgodę, bo wszystko mam nagrane. Ale dla ciebie robię wyjątek, bo chcę być w porządku - poinformował Edytę.

Ujął tym piosenkarkę, która, choć nieco przestraszona, zaakceptowała emisję szokującego fragmentu rozmowy.

O wyznaniu zrobiło się głośno, ale Górniak to nie przeszkadzało. Od czasu wywiadu zaczęła osaczać Kozyrę. Bez przerwy do niego dzwoniła z Anglii. Na koszt swego menedżera Wiktora Kubiaka potrafiła przegadać z nim osiem godzin. Głównym tematem nocnych rozmów był zresztą właśnie Kubiak, z którego artystka robiła potwora. Narzekała, że jest przez niego zniewolona, że bez niego nie ma prawa nic zrobić. Kozyra we wszystko wierzył. Razem z Edytą odliczał dni jej „ucieczki” od londyńskiego opiekuna gwiazdy. Radził się prawników, jak skutecznie zerwać kontrakt, który artystka podpisała kiedyś z menedżerem. Po premierze płyty, Edyta przyleciała na dziesięć dni do Polski. Jednak, choć wcześniej umawiała się z Kozyrą na lunch, długo nie dawała znaku życia. Zadzwoniła ostatniego dnia pobytu, jadąc do Poznania na spotkanie z fanami.

- Jestem strasznie spóźniona, a chcę być w porządku wobec swoich wielbicieli. Mógłbyś ogłosić w swoim radiu, że stoję w korku? - pytała.

Kozyra wiadomości nie ogłosił, a zachowaniem Edyty trochę się zdziwił. Niemniej, gdy po kilku dniach wróciły nocne telefony z Londynu, zaczął się do niej ponownie przekonywać. Cekał na jej „ucieczkę” z Anglii. Po przyjeździe do kraju piosenkarka zamieszkała u koleżanki, która na jakiś czas oddała jej swój skromny pokój w domu rodziców. Niestety, wkrótce artystka stwierdziła, że nie może tam mieszkać.

- Właścicielka mieszkania ma okropne cechy, w dodatku wysyła złą energię - poinformowała Roberta.

Na tydzień zamieszkała w swoim ulubionym warszawskim hotelu Sheraton, ale na dłuższą metę nie rozwiązywało to problemu. W końcu Kozyra zaproponował, by wprowadziła się do niego. Ku jego zaskoczeniu, Edyta bez wahania przyjęła propozycję. Specjalnie dla niej zrobił w domu drobny remont,

czym bardzo ujął gwiazdę.

Wtedy widział w niej niezaradną dziewczynkę, bezbroną, wielokrotnie krzywdzoną przez byłych partnerów. W tym ostatnim utwierdzały go zresztą opowieści Edyty. Kozyra zastanawiał się, dlaczego tak wrażliwa kobieta trafiała dotąd wyłącznie na podłych ludzi i jak dziennikarze mogą ją tak bardzo krzywdzić.

W czerwcu 1998 r. postanowił ją zabrać w podróż życia. Kupił dwa bilety na wyspę St. Barth's na Karaibach. Sam doskonale znał to miejsce i wiedział, że jest piękne. Edyta narzekwała jednak na długi przelot samolotem.

- A wiesz, że wakacje spędzają tam również Madonna i Celinę Dion? - Robert użył ostatecznego argumentu.

Podziałało. Planowaną egzotyczną podróżą gwiazda już wkrótce chwaliła się znajomym, a informacja szybko dostała się do dziennikarzy magazynu „Viva!”. Zaproponowali Edycie sesję zdjęciową na Karaibach. Oczywiście, z nowym chłopakiem.

Robert nie był zachwycony, ale stwierdził, że skoro jego kobiecie tak bardzo zależy, to on się zgadza. Wbrew późniejszym doniesieniom mediów, dwutygodnik nie sponsorował wakacji, a jedynie zapłacił za pobyt swojego fotografa i makijażystki.

O mały włos z sesji nic by nie wyszło. W połowie pobytu Edyta śmiertelnie obraziła się na Roberta o jakieś głupstwo. Urządziła scenę hysterii. Zdecydowała, że wraca do Polski. Zdanie zmieniła dopiero na lotnisku, tuż przed odprawą.

Huśtawka emocjonalna towarzyszyła związkowi Edyty Górniak i Roberta Kozyry od początku do końca. Kiedyś, gdy Kozyra pojechał na organizowany przez Radio Zet pokaz sztucznych ogni pod Częstochową, piosenkarka zaczęła do niego wydzwaniać, by natychmiast wracał.

- Jestem poza Warszawą i najwcześniej mogę być w domu rano. Poza tym, zaprosiliśmy tysiące gości i nie wypada, żeby zabrakło prezesa stacji - tłumaczył Kozyra.

Obiecał, że będzie z nią w kontakcie. W pewnym momencie przestała jednak odbierać telefony. O świcie Robert z duszą na ramieniu wrócił do stolicy. W mieszkaniu znalazł dwa telefony komórkowe Edyty i rozłożoną gazetę z artykułem o Dianie, kolejnej bohaterce piosenkarki. Górniak jednak w domu nie było. Robert nie wiedział, co ma robić. Bojąc się skandalu, nie chciał zgłaszać zaginięcia policji. Zaczął wydzwaniać po znajomych, ale nawet im nie chciał zdradzać szczegółów. Na poczekaniu wymyślił historię, że Edyta prosiła go o przywiezienie z Londynu jakiejś torby.

- Niestety, wypadło mi z głowy, dla kogo ten bagaż miał być. Przypadkiem nie dla was? - pytał wszystkich po kolei.

Tak naprawdę chodziło o wysondowanie, gdzie jest Edyta. Gdy poszukiwania nie przynosiły skutku, poprosił o pomoc znajomą. Postanowili, że będą razem jeździć po Warszawie. Kiedy mieli już wychodzić do samochodu, ktoś zadzwonił do drzwi. Okazało się, że to piosenkarka. Kozyra pytał, gdzie była, ale nie odpowiadała. Weszła do pokoju i, nic nie mówiąc, położyła się na łóżku. Leżała godzinami, wlepiając wzrok w sufit. Płakała.

Na drugi dzień dzwoniła do Roberta co kilka minut. Szef Zetki, mimo pilnych zajęć w pracy, wrócił do domu. Górniak była w fatalnym stanie. Nie chciała jeść. Próbował ją nakarmić, ale ona, jak dziecko, zaciskała usta.

Zrozpaczony zadzwonił do Chrisa Neila, o którym wiedział, że przyjaźni się z Edytą. Ten błyskawicznie zdecydował o przyjeździe z Londynu do Polski. Gdy Kozyra jechał po niego na lotnisko „Okęcie”, dostał telefon od Artura Iwana.

- Edyta kazała mi wypłacić z banku wszystkie jej pieniądze i przekazać mamie - mówił spanikowany.

Robert zgarnął szybko Chrisa z lotniska i razem popędzili do domu. W windzie spotkali również przerażonego Iwana. Gdy weszli do mieszkania, ujrzeli niezwykle widok. Edyta w kuchni nachylona nad palnikiem kuchenki gazowej. Kurek odkręcony, okno zamknięte. Edyta płacze, trzęsie się. Na widok przyjaciół, podbiega do okna i próbuje przez nie skakać. Sparaliżowany Kozyra nie wiedział, co robić. Iwan

krzyczał coś beładnie. Neil nawet nie próbował kryć hysterii.

- Trzeba jej zrobić uspokajający zastrzyk. Czy ktoś zna jakiegoś dyskretnego lekarza? - krzyczał po angielsku.

W końcu obyło się bez wzywania karetki, a całej trójce udało się jakoś uspokoić piosenkarkę. Neil długo ją przytulał, a ona go pytała, czy aby na pewno jest normalna. Pomocna okazała się też jej ulubiona herbatka rumiankowa.

Jednak kolejna próba samobójcza Edyty, w dodatku mocno teatralna, przekonała Kozyrę, że coś powinien w tym związku zmienić. Tym bardziej, że coraz więcej przyjaciół mówiło mu, że odkąd jest z Górniak, bardzo się zmienił. Unika znajomych, ograniczył kontakty z otoczeniem. Nawet pracownicy radia przekonywali, że ostatnio coś z nim nie tak.

Zapisał się do jednego ze słynnych polskich psychoterapeutów. Razem szukali wyjścia z sytuacji. Doszli do wniosku, że Kozyra powinien zerwać toksyczny związek z piosenkarką, a Edyta musi się od niego jak najszybciej wyprowadzić. Podobne rady dawali przyjaciele.

Robert długo się wahał, odwlekał decyzję. Ale Edyta zaczęła przeczuwać, że coś jest nie tak.

Błyskawicznie się zmieniła. Stała się nienaturalnie miła, ciepła. To tylko utwierdziło Kozyrę, że piosenkarka nim gra.

Wreszcie zdobył się na odwagę. Którejś nocy sprowokował poważną rozmowę i oświadczył, że dalej z nią nie wytrzyma. Ich wspólne życie nie jest już przyjemnością, ale gehenną. Poprosił, by wyprowadziła się z jego mieszkania.

Edyta rzuciła się na ziemię i zaczęła krzyczeć. - O Boże, co powiedzą moi fani! Mimo próśb piosenkarki, by spróbowali jeszcze raz, szef Zetki nie zmienił zdania. Wyprowadzka przychodziła jednak Edycie z trudem. Dopiero po kilku tygodniach przeniosła się do Waltera Chełstowskiego.

Mimo oficjalnego rozstania, nadal jednak męczyła swego byłego partnera telefonami. Namawiała, by jeszcze raz dali sobie szansę. Kiedy wiedziała, że Robert jest chory, proponowała, że wpadnie zrobić mu ciepłej herbaty. Przed Bożym Narodzeniem zadzwoniła z życzeniami.

W Kozyrze coś pękło. Zaczął mieć wątpliwości, czy dobrze zrobił, rozstając się z piosenkarką. Może powinni spróbować jeszcze raz?

Od pracowników Pomatonu EMI dowiedział się, że gwiazda jest właśnie w Korei. Postanowił się z nią skontaktować. Dzwonił na koreańską informację telefoniczną i prosił o numery do najlepszych hoteli. Nigdzie jednak nie było Polki o nazwisku „Górniak”. Swoimi poszukiwaniami ujął jedną z hotelowych recepcjonistek.

- Jeśli tak bardzo panu zależy, podzwonię po okolicznych hotelach i popytam - zaproponowała.

Po kilkunastu minutach Robert zatelefonował do niej znowu.

- Nie mam dobrych wiadomości. Nikogo takiego nie udało mi się znaleźć. Dam jednak panu jeszcze numery do kilku miejsc. Proszę próbować - powiedziała kobieta.

Tym razem Kozyra miał więcej szczęścia. Już w pierwszym hotelu usłyszał: „Górniak? Już łączę”.

Niespodziewany telefon z Polski zaskoczył Edytę. Była wzruszona. Ze swym byłym chłopakiem przegadała kilka godzin. W końcu umówili się, że jak wróci do Warszawy, pójdą razem na lunch. Robert prosił tylko, by piosenkarka nikomu nie opowiadała ani o jego telefonie, ani o planowanym spotkaniu.

Po kilku tygodniach do Kozyry zadzwoniła jednak dziennikarka „Życia na Gorąco”.

- Czy zechciałby pan opowiedzieć, jak odnalazł panią Górniak w Azji? No i, w ogóle, o waszym ponownym związku?

Kozyra był wściekły. Zadzwonił do Edyty z pretensjami.

- Opowiedziałam o tym tylko jednej znajomej, która przysięgała, że nikomu o niczym nie powie! Zabiję ją!

- tłumaczyła spanikowana piosenkarka. - Zadzwonię do „Życia na Gorąco” i załatwię, żeby o tym nie pisali - obiecywała.

Ale Kozyra już jej nie wierzył. Znowu rozluźnił stosunki, przestali się spotykać. Po jakimś czasie gwiazda zadzwoniła do niego, gdy w „Gazecie Wyborczej” ukazał się na jej temat krytyczny artykuł.

- Mam właśnie koncert, ale po tym tekście nie jestem w stanie wyjść na scenę - szlochła do słuchawki. Robert długo ją pocieszał. W końcu udało mu się ją przekonać, że jest świetna, i że wcale nie jest tak, jak piszą gazety.

Kilka dni później Edyta zadzwoniła do niego znowu. Tym razem jej głos miał zupełnie inny ton.

- Nie możemy się spotykać - krzyczała, choć przecież od dawna się nie widywali. Ostrzegła, że go zniszczy i upodli w mediach.

Wkrótce Kozyra przeczytał o sobie w prasie kolorowej same najgorsze rzeczy. Że był dla Edyty ciężarem, nie wiedział, czego oczekuje od ich związku, prawdopodobnie ma kłopoty z orientacją seksualną i... próbował wykorzystać jej sławę do swojej kariery.

Jestem aniołem

Choć szybko osiąga status niekwestionowanej gwiazdy, długo żyje jak Cyganka. Nie ma mieszkania ani bliskich, którzy staliby za nią murem. Traktuje ludzi jak zabawki. Potrafi uwielbiać kogoś jak nikt na świecie i za chwilę - jak nikt - upokorzyć. Przyjaciele, których nagle skreśliła z kalendarza, do dziś nie wiedzą, dlaczego tak się stało. Bo Edyta Górniak, oprócz śpiewu, do perfekcji doprowadziła jeszcze jedną sztukę: manipulowanie ludźmi.

Edyta wierzy, że jest aniołem - mój rozmówca, z którym spotykam się w warszawskim klubie „Tango & Cash”, cedzi słowa, jakby się bał, że nie zostanie przeze mnie dobrze zrozumiany.

Po chwili powtarza to samo, żebym przypadkiem nie pomyślał, że to jakiś żart albo przerośnięcie.

- Mówię najzupełniej poważnie: ona jest przekonana, że jej życie to specjalna misja. Ze pojawiła się na świecie, by go naprawiać i dawać ludziom szczęście - dodaje.

Sam był świadkiem, jak opowiadała o tym swoim fanom, którzy podchodzili do niej po koncercie mówiąc: „byłaś boska!”. Piosenkarka wierzy też w metafizyczne kontakty ze zmarłymi, zwłaszcza babcią, która podobno z zaświatów prowadzi ją przez życie. Jej zdjęcie zabiera zawsze na koncerty i stawia w garderobie przy lustrze.

Otrzymała od niej pierścionek traktuje jak najcenniejszy talizman. Nie nosi go na palcu, lecz trzyma w specjalnej szkatułce.

Mistyczny odjazd Edyty zaczął się w Londynie pod wpływem dziewczyny, która śpiewała u niej w chórkach. Trący opowiadała jej, że potrafi przewidywać przyszłość. Przekonywała, że każdy człowiek ma tajemniczą energię, a ona sama ma szczególny dar przekazywania jej na odległość. Edyta natychmiast w to uwierzyła i przyjęła jako swoją filozofię. Uznała się za osobę o wyjątkowo silnym przekazywaniu energetycznym. Nową wiarę od razu zaczęła wdrażać w życie, wyrządzając przy tym wiele krzywd sobie i swemu otoczeniu. Uznała na przykład, że musi się wystrzegać ludzi mających złą energię. W efekcie, zupełnie bez sensu, odsunęła się od wielu życzliwych osób.

Na własnej skórze doświadczył tego szef jednej z firm odzieżowych, z którym się wcześniej przyjaźniła. W pewnym momencie między nim a piosenkarką doszło do jakiegoś konfliktu. Edyta twierdziła, że po kilku kieliszkach wina, mężczyzna próbował ją poderwać. Kontakty się urwały. Przypadek sprawił jednak, że kiedy była w Londynie, on również tam zawitał. Zaproponował spotkanie. Umówili się w budynku, w którym Górniak przygotowywała nową płytę. Dwa dni po wizycie, w studiu zwariowały komputery, co groziło utratą nagranych materiałów, a więc zmarnowaniem kilkumiesięcznej pracy.

- To wina kogoś, kto ci źle życzy. Musiał ci wysłać złą energię i stąd nasze kłopoty - tłumaczyła Trący. - Na szczęście, dzięki moim umiejętnościom, odeślę mu ją z powrotem!

Pech chciał, że kilka dni później mężczyzna, który odwiedził Edytę w studiu, potknął się w swoim warszawskim biurze i skręcił kostkę. W dodatku w jego firmie... również wysiadły komputery. Od tej pory dla Edyty stał się wcielonym diabłem.

- Nie spotykajcie się z nim, bo on wysyła czarną energię - przekonywała swoich przyjaciół.

Takie nagłe zmiany stosunku do ludzi to u Edyty absolutna norma. Kiedyś, na swym pierwszym koncercie

w Stanach, poznała młodego Amerykanina. Była zachwycona.

- Jak on mi się wspaniale oświadczył! Jak piękne kwiaty kupuje! Jakie przynosi prezenty! - chwaliła się znajomym.

A potem zupełnie niespodziewana zmiana o sto osiemdziesiąt stopni.

- Przejrzałam go. Straszny samolub i sknera - tłumaczyła.

Biedny chłopak długo nie mógł zrozumieć powodów zerwania płomiennej znajomości. Jeszcze przez rok mailował do polskiego agenta artystki z prośbą o kontakt z piosenkarką.

Nawet najbliżsi współpracownicy nie mogą czuć się przy Edycie bezpiecznie. W 1998 roku znany reżyser i producent muzyczny Walter Chęłstowski polecił jej swą znajomą Dorotę Oraczewską, która chciała być jej asystentką. Edyta się zgodziła i niemal od razu zapalała do nowej współpracownicy miłością. Opowiadała, jak profesjonalnie prowadzi jej interesy, umawia wywiady, utrzymuje kontakty z mediami. Trzy tygodnie później nie odbierała już od niej telefonów.

- Na sam widok Doroty dostaje torsji - opowiadała koleżankom.

Także Joanna Hereta, była pracownica firmy fonograficznej Pomaton EMI, nie wie, dlaczego nagłe została wykreślona z kalendarza gwiazdy. A przecież to u niej mieszkała Edyta, gdy przyjeżdżała z Anglii do Polski, i to ją, jako najbliższą przyjaciółkę, zaprosiła do nadawanego w TVN programu „Jak tyse konie”. Sezonowa okazała się też znajomość z Chrisem Neilem, producentem jej pierwszej anglojęzycznej płyty.

W przypadku Tadeusza Mieczkowskiego, którego Górniak poznała w 1999 r., do zerwania kontaktów wystarczyło drobne nieporozumienie zawodowe. Mieczkowski, jeden z najlepszych realizatorów dźwięku w Polsce, pracuje z największymi gwiazdami i najczęściej to one zabiegają o niego. Jego kalendarz jest wypełniony na rok do przodu. Tymczasem, gdy potrzebowała go Edyta, potrafił rzucić wszystko i być całkowicie do jej dyspozycji. W pewnym momencie tak się zaprzyjaźnili, że kiedy ona przylatywała do Polski, mieszkała właśnie u niego. Oddał jej do dyspozycji pokój, miała u niego swoje kapcie. Ona zresztą potrafiła mu się odwzajemnić: gdy z powodu ważnych obowiązków Tadeusz nie mógł zawieźć rodziny na wakacje, Edyta z własnych pieniędzy wynajęła samochód z kierowcą i poleciła, by zawiózł jego dzieci i żonę na wczasy. Przyjaźń trwała trzy lata. Skończyła się z powodu incydentu w krakowskim studiu RMF, gdzie Mieczkowski bezskutecznie chciał ją zmobilizować do pracy. W końcu podniósł na nią głos. Sesja szybko się skończyła, a Tadeusz podzielił los innych byłych przyjaciół artystki.

Zastępy „porzuconych” przez Górniak rosną z roku na rok. Bo Edyta, kiedy się kimś zachwyci, natychmiast go osacza. Jest w stanie zrobić dla niego wszystko. I nagle, po roku, dwóch, z dnia na dzień zrywa kontakt. Nie odbiera telefonów, czasem wręcz zmienia numer. Niemal nigdy niczego nie tłumaczy. O tym, że popadł w niełaskę, zainteresowany dowiaduje się zwykle od innych. Z tego punktu widzenia małżeństwo artystów z „Metra”, z którymi Edyta znała się wiele lat, miało dużo szczęścia. O zerwaniu kontaktów Edyta poinformowała ich... e-mailem. Gdy urodziło im się dziecko, piosenkarka zadzwoniła do nich o 23.00. Telefon odebrał Michał, ale ona chciała rozmawiać z jego małżonką.

- Słuchaj, żona usypia właśnie malucha. Zadzwoni jutro - poprosił piosenkarkę.

Gdy Edyta zatelefonowała na drugi dzień, żona Michała akurat odsypiała zarwaną noc. Tego już było za wiele. Nazajutrz artystka im napisała, że nie są już przyjaciółmi, i że ją zawiedli, bo ich znajomość miała być przecież na śmierć i życie!

Gorzej, gdy w celu usprawiedliwienia swego zachowania Edyta wymyśla nieprawdopodobne historie, które potem sprzedaje innym. Bo jak traktować opowieść, że Piotr Gembarowski ją podsłuchiwał, albo że Piotr Krasko zostawił ją na święta samą, tylko dlatego, że się źle poczuła? Artystka opowiadała, że pojechał wtedy do rodziny, zostawiając jej w domu... suchy chleb. Znajomi Kraski zapewniają, że on nigdy by czegoś podobnego nie zrobił. Naprawdę był w niej zakochany po uszy.

Jakie są powody tego, że Edyta zmienia przyjaciół jak rękawiczki? Zdaniem tych, którzy się z nią zetknęli, przyczyny leżą w cechach charakteru artystki. Bo ona żąda nie tylko całkowitej lojalności, ale też pełnego uznania dla tego, co robi. Wręcz uwielbienia. Wymaga ciągłego komplementowania, podkreślenia tego, że jest wielka, cudowna i wyjątkowa. Osoby z jej otoczenia na to idą, obchodząc się z nią jak z jankiem.

Kiedy piosenkarka do kogoś przyjeżdża, burzy cały harmonogram dnia.

- Gdy śpi, cała rodzina chodzi na paluszkach -twierdzi jeden z kolegów, który gościł ją u siebie. Co ciekawe, przyczyną takiego zachowania jest nie tylko strach przed humorami gwiazdy, ale też pewnego rodzaju litość.

- Górniak uwielbia sprawiać wrażenie biednej, niesamodzielnej dziewczynki, która wymaga nieustannej opieki. Ludzie to kupują, choć gdy Edyta tylko chce, potrafi radzić sobie ze wszystkim doskonale. Nagle zaczyna twardo stąpać po ziemi, okazuje się świetnym negocjatorem, sprawnie porusza się w wielkim świecie show-biznesu. Trzeba przyznać, że nie myśli wtedy tylko o sobie. Potrafi na przykład wynegocjować najlepsze stawki dla swoich współpracowników - opowiada jeden z agentów piosenkarki. Zmienność nastrojów i uleganie skrajnym emocjom - to cechy charakteru artystki najczęściej wymieniane także przez tych, którzy znają ją wyłącznie od strony zawodowej. Z tego powodu trudno ocenić jej profesjonalizm. Bo Górniak potrafi przesadnie dbać o każdy szczegół nagrania czy występu: aranżację smyczków, reżyserię koncertu, oświetlenie. Ingeruje w rodzaj czcionki i papieru na okładce płyty, która ma się ukazać. Ale innym razem przychodzi do studia z nienauczonym tekstem piosenki, przez co opóźnia nagranie.

- No i, niestety, w ogóle nie ćwiczy głosu, a przecież nawet największe sławy robią to do końca kariery - twierdzi jeden z byłych przyjaciół artystki. - Ona bywa profesjonalistką. Podkreślam: „bywa”. Podobnie skrajne opinie można usłyszeć na temat wytwarzanej przez nią atmosfery w pracy.

- Kiedy wszystko jest w porządku, potrafi być wspaniałym człowiekiem. Pamiętam, jak pracowaliśmy kiedyś po 18 godzin na dobę w warszawskim studiu przy Myśliwieckiej. Żeby nie siedział w nieświeżym ubraniu, Edyta potrafiła wyjść do sklepu i kupić mi nową koszulę - wspomina jeden z jej byłych współpracowników.

Inni jednak twierdzą że w jej przypadku takie gesty o niczym nie świadczą.

- Jednego dnia jest sielanka, następnego trzeba uważać na wszystko, co się mówi - komentują. - Czasami po koncertach siada razem z ludźmi z chórków i długo wypytuje, co u nich. A po kilku dniach nie pamięta, jak te osoby się nazywają.

Najbardziej kapryśna jest przed występami. Mimo wieloletniej pracy, ma tremę przed każdym z nich. Wtedy nie wolno jej przeszkadzać, a już zwłaszcza przekazywać jakichkolwiek złych informacji. Do garderoby nie ma wstępu nawet aktualny narzeczony. Zdarza się, że przed drzwiami siedzi ochroniarz, który pilnuje, by piosenkarka miała święty spokój. Jedną z niewielu osób, które zawsze mogą tam wejść, jest Adam Swędera, pracownik techniczny, ale też wieloletni przyjaciel artystki. To on robi jej herbatę i podłącza mikroport.

W życiu prywatnym nie jest osobą zorganizowaną, w sprawach zawodowych potrafi jednak pod tym względem zaskoczyć. W domu ciągle giną jej jakieś papiery, rachunki za prąd, gaz, a nawet umowy koncertowe.

- Znajomy opowiadał mi, jak Edyta zaprosiła go razem z dziećmi do wynajmowanego na warszawskim Zapłociu domu. Nie wiedział, co ma powiedzieć dzieciom, bo na środku podłogi leżała sterta ubrań. W końcu wybrnął, mówiąc że artystka wkrótce wyjeżdża i się pakuje - opowiada jeden z jej byłych partnerów.

- Ale kiedy wyjeżdża w trasę, wszystko ma świetnie poukładane. Każdy kosmetyk na swoim miejscu. Nawet gdy podczas koncertu w garderobie panuje przejściowy miszmasz, po występie wszystko wraca na swoje miejsce do pudełek i kosmetyczek - dodaje jeden z jej garderobianych.

Nawet w pracy Edycie nie udało się wyeliminować chorobliwego spóźnialstwa. Potrafi przyjść o dwie godziny za późno na poważną sesję zdjęciową tylko dlatego, że nie mogła znaleźć sukienki albo po prostu rozmawiała z kimś przez telefon.

Długie rozmowy przez telefon to prawdziwy nałóg artystki.

- Ona właściwie wolny czas spędza na trzy sposoby - wspomina jeden z jej eks-partnerów. - Po pierwsze, wisząc na słuchawce i gadając o niczym... Drugie ulubione zajęcie to oglądanie telewizji. Trzecie to

spanie. Może spać w dzień i w nocy, widocznie jej organizm w ten sposób od reagowuje stresy - opowiada jej znajomy.

Te niewyszukane formy rozrywki wynikają być może z tego, że tak naprawdę Edyta niewiele wie o świecie, nie ma też zbyt wielu zainteresowań. Podobno całe życie mogłaby spędzić na plotkach.

- Ku memu zdziwieniu, kompletnie nie ma w niej ciekawości świata. Czasami nawet nie wiedziała, gdzie leży kraj, do którego jedzie. Nie mówiąc już o tym, żeby się czegoś dowiedzieć o miejscowej kulturze, kuchni - mówi jeden z jej byłych partnerów.

To wszystko przekłada się na całe jej życie. Wszystko jest powierzchowne i niepoparte wiedzą. Ci, którzy byli kiedyś z artystką blisko, mówią, że nigdy nie mieli okazji porozmawiać z nią o przeczytanej książce czy obejrzanym filmie.

- Bo ona raczej nie czyta. Jeśli już, to biografię Marilyn Monroe, na punkcie której ma jakąś totalną korbę. Ale nawet w tym przypadku lektura kończy się zwykle po kilkunastu stronach - opowiada jeden z byłych partnerów.

Wspomina, że o wspólnym wyjściu do teatru nie było co marzyć. Sporadycznie kino. Przez jakiś czas ulubionym zajęciem piosenkarki było oglądanie filmów na DVD. Zafascynowana była „Seleną” z Jenifer Lopez w roli głównej. Obejrzała ten film kilkadziesiąt razy, zawsze zalewając się łzami. To opowieść o piosenkarce, która zostaje zamordowana przez swoją fankę.

- Czuję, że kiedyś też tak skończę - wyznała kiedyś dramatycznym głosem swemu partnerowi Robertowi Kozyrze.

Innym ulubionym filmem Górniak był „Titanic”. Krytykowała tylko śpiew Celinę Dion. Nie potrafiła zrozumieć, że wszyscy się nią zachwycają.

- A przecież w angielskim wykonaniu koszmarnie słyhać jej francuski akcent - powtarzała.

Ale nawet o muzycznym guście piosenkarki trudno coś powiedzieć. Z relacji przyjaciół wynika, że słucha głównie tych, których potem kopiuje: Whitney Houston, Mariah Carrey i właśnie Celinę Dion. Od czasu do czasu jakaś płyta r'n'b, choć od kilku lat nie jest to już zbyt modny gatunek. Żadnej muzyki klasycznej. Z tych wszystkich powodów, artystka ma kompleksy, które stara się za wszelką cenę ukryć.

- Znalazła na to sposób. Na przykład w wywiadach zawsze porusza te same tematy. Wszystkie pytania dotyczą jej przeszłości, kariery, muzyki, ewentualnie relacji z innymi ludźmi. Koniec. Nigdy nie ujawnia, jakie ma zainteresowania, hobby, jaki jest jej światopogląd. Nie wiadomo, czy interesuje się polityką - zauważa były agent artystki.

Z całą pewnością Edyta interesuje się natomiast swoim wyglądem i strojem. W tych sprawach zawsze sama podejmuje ostateczną decyzję i zwykle się nie myli. Właściwie miała tylko jedną wpadkę: w marcu 2002 roku występ podczas gali rozdania Wiktorów w Teatrze Narodowym. W tym czasie Edyta długo nie pokazywała się w kraju. W Wielkiej Brytanii podpatrzyła bardzo skąpe stroje mocowane na plastry i postanowiła przenieść tę nowinkę do kraju. Jej stylistą Grześ Bloch przywiózł jej z Anglii kilka takich kreacji, a Edyta wybrała jedną z nich. Nie przewidziała, że podczas koncertu będzie stała na podwyższeniu, a fotoreporterzy niżej. W efekcie pół Polski dowiedziało się, jaką nosi bieliznę. W dodatku plastry się odkleiły i wylazły na wierzch, co skwapliwie odnotowała kolorowa prasa.

Wywołane wtedy zamieszanie musiało zrobić na Edycie spore wrażenie. Gdy dwa miesiące później wystąpiła na prestiżowej gali wręczenia godła „Teraz Polska”, a następnie obejrzała się w telewizji, uznała, że znów nie wygląda najlepiej. Gdy dowiedziała się, że transmisja ma być powtórzona, zażądała... wstrzymania emisji. Początkowo w TVP nikt się tym nie przejmował - w końcu artystka podpisała umowę na występ, za który zresztą wzięła duże pieniądze. Jednak wkrótce na Woronicza nadeszło pismo od prawnika Edyty, w którym straszył on, że jeśli telewizja wyemituje materiał, zostanie pozwana do sądu. Choć szefostwo stacji miało wygraną w kieszeni, stwierdziło, że nie ma sensu walczyć z gwiazdą, Wyemitowano galę bez jej koncertu. Ale Sławomir Zieliński, ówczesny dyrektor pierwszego programu, był wściekły.

- Dopóki będę szefem Jedynek, ta pani u nas nie wystąpi - oznajmił zdecydowanym głosem.

Słowa jednak nie dotrzymał. Niespełna rok później Górniak wzięła udział w telewizyjnej gali ogłoszenia polskiego reprezentanta na festiwal Eurowizji.

- Na jej występ należał Pałac Prezydencki. Chodziło o to, by uciąć spekulacje na temat rzekomej ciąży Edyty z Aleksandrem Kwaśniewskim. Zieliński nie miał specjalnego wyboru - twierdzi jeden z pracowników kancelarii głowy państwa.

Droga na wielką scenę

Śniada, śliczna i bardzo samotna dziewczynka przez plot przedziera się na opustoszałą scenę opolskiego amfiteatru. Tańczy i śpiewa do pustych krzeseł. Widzi siebie, jak występuje przed kilkutysięczną publicznością. Nie wie jeszcze, że niedługo jej marzenia się spełnią. Zanim Edyta Górniak spotka ludzi, którzy wyniosą ją na szczyt, jest najwykleszą dziewczyną z podopolskich Ziębic. Córka Roma i Polki Jej dzieciństwo nie należy do najłatwiejszych.

Pierwsze lata jej życia były trudne, w gruncie rzeczy smutne. Rodzice pobrali się po dwóch latach narzeczeństwa. Rom, Jan Górniak poznał Grażynę w 1970 roku, gdy miał 19 lat. Ona była od niego pięć miesięcy młodsza. Jan grał w zespole na wiejskich zabawach na gitarze, klawiszach lub perkusji. Wtedy zarabiał na tym niezłe pieniądze. Udało mu się namówić Grażynę, aby śpiewała u niego w kapeli. Nie trwało to jednak zbyt długo - występy zbyt jej nie podobały, w dodatku, jak twierdzą członkowie kapeli, nie bardzo wychodziły. Rzuciła śpiewanie, ale nie Jana. Gdy w sierpniu 1972 roku wzięła z Górniakiem ślub, była już w zaawansowanej ciąży.

Trzy miesiące później 14 listopada 1972 roku w Ziębicach, miasteczku oddalonym od Opolą o około 40 km, przyszła na świat Edyta. Zodiakalny Skorpion.

Od początku miała pecha. Urodziła się z żółtaczką, która nie ustępowała przez 10 pierwszych miesięcy. Później doszły kłopoty ze stawem biodrowym: kilka miesięcy dziecko musiało spędzić unieruchomione w gipsie. Ale Edyta pokonała choroby i rosła na śliczną, zdrową dziewczynkę.

Od najmłodszych lat ojciec edukował ją muzycznie, jak tylko potrafił. Często grał jej na gitarze, śpiewał, jakby chciał przenieść swą pasję na pierworodną córkę. Kupił jej elektryczne organy. W Ziębicach Edyta przeżyła sześć pierwszych lat w jednopokojowym mieszkaniu z kuchnią i wspólną dla kilku rodzin ubikacją na piętrze, bez łazienki. Za to z kochającymi ją i siebie rodzicami.

Na początku lat osiemdziesiątych Górniakowie przeprowadzili się do nowo wybudowanego bloku w Opolu. Byli jego pierwszymi lokatorami. Ojciec pracował wtedy jako murarz, dorabiając graniem na weselach. Gdy Edyta chodziła do podstawówki, Jan Górniak zapisał ją do ogniska muzycznego. Często śpiewała razem z tatą - stawała przed lustrem, tańczyła, a on jej przygrywał. Jednak po przeprowadzce do Opolą rodzinna sielanka zaczęła się psuć. Może ojciec, jak przystało na prawdziwego Roma, nie mógł się przyzwyczaić do jednego miejsca? Pewne jest, że na początku maja 1981 roku spakował się i postanowił odejść. Rozstanie było dramatyczne: Edyta za wszelką cenę próbowała go zatrzymać. Kiedy jechał windą, ona zbiegała po schodach, żeby go dogonić. Błagała, by został. Ale on z zaciśniętymi zębami wsiadł do zaparkowanej pod blokiem czarnej wołgi i odjechał.

Gdy 24 maja 1981 roku przystępowała do pierwszej komunii, ojciec nie pojawił się na uroczystości. Był w Zamościu, gdzie poznał kolejną partnerkę życia, którą zresztą po kilku latach też zostawił. W domu Edyty pokazał się dopiero po sześciu latach. Wpadł dosłownie na chwilę i znowu przepadł.

Dziewczyna bardzo przeżyła rozstanie rodziców. Tymczasem matka ledwo wiązała koniec z końcem. Trudno ocenić, ile prawdy jest w opowieściach piosenkarki, że razem z mamą chodziła na zmianę w jednej parze butów i jeśli jedna wyszła na dwór, druga, żeby wyjść z domu, musiała czekać, aż ta wróci. Z całą pewnością jednak w domu się nie przelewało, choć Jan Górniak jeszcze przez osiem lat przysyłał Grażynie niewielkie pieniądze na dziecko.

W szkole Edycie nie szło najlepiej. Jej nauczyciele mówią, że wyjątkowo zdolną uczennicą nie była. Raczej przeciętnym. Nieraz czuła na sobie niechęć kolegów, którzy, jak wspomina, wyśmiewali się z jej

ciemniejszej cery. Prawie całą podstawówkę przesiedziała w oddzielnej ławce, którą sama nazywała „oślą”.

Wkrótce matka poznała mężczyznę, z którym zdecydowała się zamieszkać. Edycie nie żyło się z nim najlepiej. W nowej rodzinie się nie odnalazła - ojczym nie darzył jej sympatią. Podobno zamykał ją w innym pokoju czy nawet komórce, nie pozwalał razem z rodziną jeść obiadów. Mama miała dużo pracy i rzadko znajdowała czas, by dłużej porozmawiać z córką. Edyta bardzo to przeżywała. Wkrótce na świecie pojawiła się jej przyrodnia siostra Małgosia, bardzo podobna do Edyty, ale, jak twierdzą osoby, które ją poznały, najwyżej w dziesięciu procentach tak wrażliwa, jak ona.

Nie mając wsparcia w rodzinie, Edyta wolny czas spędzała sama. Często na deskach opolskiego amfiteatru, znanego z odbywającego się w nim latem festiwalu. Przechodziła przez parkan i stawała na brudnej, niczym nie przypominającej tej z telewizji scenie. Wyobrażała sobie, że śpiewa dla publiczności. To było jej miejsce magiczne, w którym odnajdywała spokój.

Uczyła się wtedy w technikum pszczelarsko-ogrodniczym, w którym założyła zespół „System B”. Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie: Edyta ze swoją kapelą pojawiła się na przeglądzie orkiestr weselnych w opolskim domu kultury. W komisji zasiadała znana dziś z telewizyjnego „Idola” nauczycielka śpiewu Elżbieta Zapendowska. Przed występem „Systemu B”, podszedł do niej kolega.

- Mam tu taką młodą fajną dziewczynę. Świetnie śpiewa. Musisz jej posłuchać - powiedział.

Zapendowskiej Górniak najwyraźniej przypadła do gustu.

- Prowadzę studium wokalne. We wrześniu będą egzaminy. Spróbuj - zaproponowała.

Edyta egzaminy zdała, ale ponieważ mieszkała poza Opolem, na zajęciach bywała dość nieregularnie. Od maja przestała przychodzić w ogóle. Tymczasem po wakacjach, jak gdyby nigdy nic, pojawiła się znów. Zapendowska była jednak konsekwentna.

- O nie, kochana! Zostałaś wyrzucona. Jeśli chcesz tu przychodzić, musisz jeszcze raz zdać egzamin - powiedziała zdecydowanym głosem.

Edyta miała zaśpiewać kilka piosenek, które ćwiczyła przez poprzedni rok, tyle że bez wcześniej popełnianych błędów. Spanikowana pobiegła do domu, ale egzamin oczywiście zdała i została przyjęta na drugi rok.

Elżbieta Zapendowska wspomina, że jej uczennica nie grzeszyła pokorą. Często nie podporządkowywała się poleceniom, dochodziło nawet do konfliktów, zwłaszcza przy wyborze repertuaru. Zapendowska swoje, a Górniak swoje. Nauczycielka była jednak wyrozumiała. Po półtora roku zadzwonił do niej Zbigniew Górny, który akurat robił w Poznaniu program „Śpiewać każdy może”.

- Szukam młodych talentów. Znasz kogoś? - spytał.

Zapendowska zrobiła przesłuchania uczniów, na które zaprosiła znajomych. I to oni współdecydowali, kto powinien jechać na eliminacje. Twierdzi, że miała trzech pewniaków, ale wśród nich Edyty nie było.

Górniak wiedząc, że Zapendowska nie planuje jej udziału w eliminacjach, postanowiła interweniować.

- Może jednak mogłabym pojechać? - spytała słodkim głosem.

- Na razie jesteś za słaba - brutalnie ucięła jej marzenia nauczycielka.

Za Edytą wstawili się jednak znajomi Zapendowskiej. Gdy usłyszeli, jak śpiewa przebój Sam Brown „Stop”, kazali ją zabrać. Zbigniew Górny od razu zaprosił Edytę do udziału w koncercie opolskich debiutów, które wtedy organizował.

Przygotowania do występu ruszyły pełną parą. Festiwalowe warsztaty w Turawie prowadzili Ewa Kuklińska i Jacek Skubikowski. Ten ostatni zaproponował Edycie piosenkę „Zły chłopak” z repertuaru Lory Szafran. Zapendowska nie była jednak zadowolona z wyboru. Wolą, by jej uczennica zaśpiewała jakiś wolny, melodyjny utwór, typowy „festiwalowiec”. Mimo to, w Opolu Górniak zdobyła wyróżnienie.

Następnego dnia spakowała manele i pojechała do Warszawy. Z dnia na dzień rzuciła szkołę, przeszłość i... rodzinę. Ojciec odezwał się do niej dopiero, gdy była już wielką gwiazdą a on biednym ulicznym grajkiem, mającym za sobą kilka nieudanych związków i gromadkę dzieci. Kiedyś piosenkarka wysłała mu pocztą 3 tysiące zł. Z matką, ojczymem i przyrodnią siostrą Edyta utrzymuje kontakt raczej sporadyczny.

Sporo im pomagała, ale znajomym się skarży, że nigdy nie odczuła z ich strony wdzięczności. Mamę odwiedzała częściej, gdy ta była ciężko chora i przebywała w szpitalu. Ukochana babcia ze strony mamy zmarła w 1997 roku, gdy piosenkarka była w Londynie. Artystka nie przyjechała na pogrzeb. Bliskim tłumaczyła, że nie chce oglądać babci w trumnie.

Metrem na Broadway

W zespole „Metra” jest gwiazdą. Tylko jej wybacza się kaprysy, kłótnie, intrygi. Bo nikt tak jak ona nie potrafi zaśpiewać musicalowej „Litanii” i to ona ma być głównym atutem polskiego przedstawienia, które ma podbić Nowy Jork. Ale na Broadwayu „Metro” spotyka klapa. Cały zespół ma poczucie klęski. Jedyną osobą, która wychodzi zwycięsko, jest Edyta.

Jej przygoda z „Metrem” zaczęła się od... imienin Michała Bajora w 1989 r. Była na nich mama piosenkarza, prywatnie znajoma Elżbiety Zapendowskiej. Tak się składa, że wcześniej słyszała występ nikomu wówczas nieznanego Górniaka i była pod wrażeniem. Opowiedziała o tym Januszowi Stokłosa, który kompletował zespół do powstającego właśnie musicalu.

- Elka, pokaż mi te swoje dzieciaki - poprosił Stokłosa po starej znajomości.
- Nawet nie mam do nich adresów - tłumaczyła Zapendowska.

Jednak współtwórca „Metra” naciskał. Przez znajomych znajomych Elżbieta odszukała trzy osoby, w tym Edytę. Stokłosa przesłuchał ją w opolskim domu kultury, przygrywając jej na pianinie. Dziewczyna zaśpiewała mu swoją ulubioną piosenkę „Stop” Sam Brown. Musiał być pod wrażeniem, bo od razu zaprosił ją do Metra.

Edyta jednak nie potraktowała jego propozycji priorytetowo. Najważniejszy był dla niej udział w opolskich debiutach, do których właśnie się przygotowywała. W końcu przez całe dzieciństwo marzyła o występie w amfiteatrze! A „Metro”? Nikt nie przypuszczał, że to będzie takie wydarzenie. Nic dziwnego, że za żadne skarby nie chciała jechać do Warszawy. Tymczasem zdenerwowany Stokłosa wydzwaniał do Elżbiety Zapendowskiej.

- Czemu tej gówniary nie ma jeszcze u nas?! Wszyscy ćwiczą od stycznia! - darł się w słuchawkę.
- Z tego, co wiem, ona ma teraz jakieś egzaminy z geografii czy z czegoś innego - myślała na poczekaniu Zapendowska, broniąc swojej protegowanej.

Po występie w opolskich „Debiutach” Edyta Górniak spakowała się i przyjechała do Warszawy. Prosto na Bielany, na Akademię Wychowania Fizycznego, gdzie odbywały się próby „Metra”.

Wejście Edyty wszyscy pamiętają do dziś. Miała sukienkę w grochy i bardzo wysokie obcasy. Ponieważ akurat trwały zajęcia z akrobatyki, w tym stroju stawała na rękach.

- Patrz, jakie ma białe, bawełniane majciochy - szepnęła do swojego kolegi jeden z tancerzy.

Na AWF-ie początkowo ćwiczyło około 70 osób. Raz w tygodniu na korytarzu pojawiała się lista tych, którzy zostają. Reszta wracała do domu. Mimo konkurencji, cały zespół trzymał się razem. Dzielili się tylko na „sikorki” i „małpki”. Ci pierwsi to piosenkarze, drudzy tancerze.

Przez dwa miesiące ćwiczyli od ósmej rano do 22 z przerwami jedynie na posiłki. Wieczorem, po 14 godzinach prób wszyscy zazwyczaj mieli już tylko ochotę na sen. Rano podczas śniadania sprawdzano obecność i pilnowano, by każdy wszystko zjadł. Raz w miesiącu producent musicalu Wiktor Kubiak robił jakieś imprezy dla rozluźnienia. Zresztą, sami młodzi artyści również wyprawiali niezłe balangi.

Już wtedy ujawnił się pokrecony charakter Edyty. Po tygodniu pracy przysłała ona do kierownictwa musicalu z płaczem.

- Próbowano mnie zgwałcić - szlochała.

Przerażeni twórcy „Metra” przeprowadzili śledztwo. Okazało się, że to Edyta namawiała jednego z tancerzy na seks. On, wiedząc, że Górniak ma zaledwie 16 lat, odmówił. Ona, wymyślając historię z gwałtem, chciała się na nim najwyraźniej zemścić.

Wszystkie osoby, które brały udział w próbach, a były spoza stolicy, mieszkały w akademiku AWF. Edyta

wylądowała w dwuosobowym pokoju razem z Alą Borkowską. Dziewczyny spędziły razem dwa miesiące. Krążyły legendy o tym, jaką bałaganiarą jest Edyta. Śmiano się z jej moczających się po kilka dni w zlewie majtek. Borkowska nieraz narzekała na uciążliwość współlokatorki, starała się jednak utrzymać w pokoju minimum dyscypliny. Często przywoływała swą koleżankę do porządku, kazała jej sprzątać. Edyta czuła do niej pewien respekt.

Choć, w przeciwieństwie do innych, Górniak miała już na koncie pierwszy sukces w postaci wyróżnienia na opolskim festiwalu, jako artystka wciąż nie była idealna. Zdaniem Janusza Stokłosa, wymagała szlif, ale już wtedy widział, że ma do czynienia z kimś wyjątkowo utalentowanym.

Od początku nie pasowała do grupy. Chadzała własnymi ścieżkami, szukała innego towarzystwa. Któregoś dnia zabalowała z ekipą siatkarzy, którzy przyjechali na jakieś zawody czy trening. Potem wśród członków zespołu chodziły na ten temat złośliwe plotki.

Po dwumiesięcznym obozie na AWF-ie, cały zespół przeniósł się do Teatru Dramatycznego. Tam pracowali w jeszcze gorszych warunkach. Próby mogli odbywać między 16 a 4 rano. Jedynym wolnym dniem była środa. Wiktor Kubiak kupił wtedy kilkadziesiąt mieszkań w centrum Warszawy i wszyscy przyjezdni zostali w nich zakwaterowani po kilka osób. Edyta zamieszkała razem z Denisa Geislerową. Kiedy początkujący artyści weszli do Dramatycznego, każdy dostał identyfikator z imieniem i nazwiskiem, żeby móc swobodnie poruszać się po budynku. Górniak kazała sobie dopisać drukowanymi literami: „AKTORKA”. Od tej pory nie rozstawała się z identyfikatorem ani w teatrze, ani w sklepie, ani nawet w domu.

Twórcom przedstawienia bardzo zależało na tym, by stworzyć zgrany zespół. Dlatego, kiedy się okazało, że kilka osób nie może się porozumieć z pozostałymi, natychmiast je wyrzucono. Poza Edytą.

Współtwórcy „Metra”, Stokłosa i Janusz Józefowicz, traktowali ją wyjątkowo pobłażliwie. Wkrótce zrodził się pomysł, by specjalnie dla niej napisać piosenkę. To była „Litania”, utwór olśniewająco piękny, a zarazem piekielnie trudny. Kiedy rozmawia się o nim z pozostałymi artystami musicalu, do dziś można wyczuć u nich zazdrość.

- Wiedziałem, że jej trzeba napisać coś, w czym w pełni wykorzysta swoje możliwości. Dotknie dźwięków dla innych nieosiągalnych. Było przecież jasne, że Edyta jest wyjątkowa - tłumaczył mi po latach w rozmowie dla „Życia Warszawy” Janusz Stokłosa.

Nie od razu jednak Edycie udało się zaśpiewać „Litanię” bezbłędnie. Do górnych dźwięków przymierzała się z wyraźnym dystansem. W pewnym momencie tandem Januszów zastanawiał się nawet, czy nie przygotować wersji zastępczej, w której wysokie dźwięki zagra gitara. Po wielogodzinnych próbach okazało się jednak, że to niepotrzebne. Edyta radziła sobie z wszystkim doskonale.

Szybko okazało się, że jest wyjątkiem. W pewnym momencie, kiedy Janusz Józefowicz miał już dość hysterii Edyty, zaczął próbować tę piosenkę z innymi wokalistkami. Między innymi z Barbarą Melzer. Jednak nikt nie był w stanie dobrze zaśpiewać utworu.

Zdaniem Janusza Stokłosa, fenomen wykonania „Litani” nie polega tylko na technicznych możliwościach Górniak.

- Piosenka jest szalenie narracyjna, dlatego ważne, jak się ją zinterpretuje. Powinno się to robić obrazoburczo, bo przecież to modlitwa do pieniądza, czarnego boga zła. Ten utwór jest prowokacją. Trzeba umieć to oddać - tłumaczy.

Choć „Litania” jest wyjątkowo dopracowana, powstawała w błyskawicznym tempie. Jej napisanie zajęło Stokłosie 15 minut. Wiele osób dostrzega w niej podobieństwo do ulubionej wtedy piosenki Edyty Górniak „Stop” Sam Brown.

W czasie prób Edyta zdążyła się skonfliktować z niemal całą damską częścią zespołu. Za wszelką cenę próbowała zwrócić na siebie uwagę. Zostawiała na przykład kartkę w garderobie, że odchodzi, bo ma dość. I rzeczywiście, na kilka dni zniknęła, po czym zjawiała się ponownie, jak gdyby nigdy nic.

Aktorzy doskonale też pamiętają jej nieustanne bitwy o miejsce na scenie w trakcie zbiorowych tańców. Był taki moment, że gasło światło i wszyscy ustawiali się na środku. Każdy się przepychał, żeby stać w

pierwszym rzędzie. Bywało ostro, bo w sumie występowało kilkadziesiąt osób. Edyta musiała być zawsze z przodu. Przy okazji deptała komuś po nogach, uderzała łokciem. Za którymś razem Beata Urbańska, jedna z tancerek, nie wytrzymała. Po próbie postanowiła się z Edytą rozliczyć. Obie dziewczyny przez kilka minut publicznie się tłukły, co wywołało w teatrze sporą sensację.

Były też momenty bardziej dramatyczne. Któregoś dnia podczas przerwy znaleziono lekko zakrwawioną Edytę leżącą na posadzce toalety. Miała lekko drażnięty naskórek na przegubach rąk. Wtedy nastąpił pewien przełom w postrzeganiu piosenkarki. Zrozumiano, że wiele z jej zachowań to manipulacje. Odtąd kolejne jej wybryki przyjmowano ze znacznym przymrużeniem oka.

- Rzeczywiście, jej rozedrgany charakter powodował tysiące różnych dziwnych, niekiedy konfliktowych sytuacji. Ale to normalne u człowieka, który jest nad-wrażliwy - usprawiedliwia jednak piosenkarkę Stokłosa. Premiera „Metra” rozpoczęła się 31 stycznia 1991 r., punktualnie o godz. 19. Prawie trzygodzinne przedstawienie przyjęto owacjami na stojąco. Po ciężkiej pracy aktorzy, producenci i zaproszeni goście przenieśli się na bankiet do hotelu Marriott. Ale nikt nie miał złudzeń, że to nie koniec, lecz dopiero początek ciężkiej harówki. Oprócz planowych przedstawień, rozpoczęły się bowiem przygotowania do wyjazdu do Nowego Jorku, a konkretnie na Broadway, gdzie znajduje się najważniejsza scena musicalowa świata. Pomysł, by wystawić tam „Metro”, towarzyszył Kubiakowi od samego początku pracy nad musicaliem. To wszystko dla kilkudziesięciu młodych ludzi oznaczało absolutny przełom w życiu. W rok po upadku żelaznej kurtyny otwierało się przed nimi uroki kapitalizmu. Przedstawienia gromadziły pełną widownię, aktorzy zaczęli więc zarabiać duże pieniądze. Górniak - osiem milionów ówczesnych złotych miesięcznie, choć przecież śpiewała tylko jedną piosenkę. Tancerze 4.5 miliona, ale to i tak w tamtych czasach było bardzo dużo.

Dla „metrowców”, jak nazywali siebie sami artyści, uczestnictwo w musicalu nie ograniczało się do sceny. Nawiązywały się pierwsze miłości, romanse, nadchodziły rozstania.

Pierwszym obiektem zainteresowania Edyty Górniak był tancerz Andrzej Kubicki. Kolejnym, grający rolę Jana, Robert Janowski, znacznie starszy, mający już dyplom lekarza weterynarii. Ze związkiem się nie ukrywali, choć wszyscy wiedzieli, że Robert ma rodzinę. Wyszedł z tego prawdziwy dramat, bo ówczesna żona wokalisty szybko się o wszystkim dowiedziała. Rozwiedli się, ale i związek Janowskiego z Górniak się rozpadł.

Kolejną miłością Edyty z „Metra” i pierwszą, o której pisały media, był Dariusz Kordek. Górniak zwracała się do niego „Myszorku”.

- Robił dla niej wszystko: odbierał ubrania z pralni, latał do domu po żelazko. Jak było głośno, w nocy zatykał jej uszy, żeby mogła wypocząć - opowiada jedna z artystek. - A ona mu robiła awantury z byle powodu. Ganiała go po piętrach, besztła przy wszystkich. „My-szorek” przechodził wtedy ciężkie chwile. Zarówno Janowski, jak i Kordek, grali w „Metrze” rolę Jana. Górniak była Anką, miłością Jana. Zaczął się problem, bo Edyta miała zwyczaj przenoszenia na scenę tego, co akurat działo się w jej życiu.

- Kiedy z aktualnym Janem mieli ciche dni, a musieli na przykład zagrać wspólny pocałunek, robił się prawdziwy kłopot. Bo ona nie dawała mu się dotknąć. Z kolei, kiedy wszystko było w porządku, traciła nad sobą kontrolę. Pocałunki stawały się namiętne, a romantyczne sceny się przedłużały. Parę razy mało brakowało, by z którymś z Janów posunęli się za daleko - wspomina jeden z aktorów.

Tymczasem przygotowania do wyjazdu za ocean szły pełną parą. Pierwszy, eksportowy skład „Metra” całymi dniami ćwiczył w ośrodku w Ojcówku oddalonym od Warszawy o 40 km.

Edyta była jedyną osobą, która miała dostęp do pedagogów 24 godziny na dobę. Wyjątkowo miała też prawo jeść z nimi przy jednym stole. Inna sprawa, że prawie nigdy z tego nie korzystała. Zwykle siadała gdzieś z boku, na podłodze albo na jakimś taborecie.

Po ćwiczeniach w Ojcówku Górniak wracała do Warszawy i z drugim składem grała główną rolę w musicalu. Ponieważ prawie nikt z artystów nie znał angielskiego, Wiktor Kubiak postanowił ich wysłać na wakacje do porządnej szkoły językowej. Większość uczyła się w kraju, w miejscowości Konewka. Elitarna grupa: Barbara Melzer, Edyta Górniak, Denisa Geislerowa, Ala Borkowska, Monika Czajka i Robert

Janowski wyjechali do Oxfordu. Byli tam chyba miesiąc. Każdy mieszkał u jakiejś rodziny. Po zajęciach spotykali się na mieście i wspólnie szli na piwo. Edyta u „swojej” rodziny nie wytrzymała zbyt długo. Szybko znalazła sobie chłopaka i zwała się do niego z walizkami. Tajemniczy Brytyjczyk był sprzedawcą w barze z kanapkami. Podobno to właśnie na darmowe kanapki udało mu się poderwać Górniak. Chyba tylko raz pokazała go swoim znajomym, zresztą miłość nie trwała długo.

- Nie wiem, co w nim widziałam, bo on jest okropny - narzekła potem piosenkarka.

Jak twierdzą uczestnicy kursu, Brytyjczyk rzeczywiście nie miał zbyt wielu zalet.

Atmosfera Oxfordu najwyraźniej udzieliła się piosenkarce. Pewnego dnia na jakiejś wyprzedaży kupiła sobie... uniwersytecką togę.

- Całe miasto ze zdumieniem na nią patrzyło, bo te togi zakłada się tylko na zakończenie studiów. Tymczasem ona paradowała w niej wszędzie. Nawet poszła tak ubrana do jakiejś knajpy na piwo - opowiada koleżanka.

Nowy strój tak się Edycie spodobał, że później w „Metrze” śpiewała w nim swoją „Litanię”.

Po powrocie do Polski okazało się, że Edyta nie ma gdzie mieszkać. Wyjeżdżając z Warszawy zrezygnowała bowiem z wynajmowania swojego mieszkania na Ursynowie. Dopiero wracając z „Okęcia” w autobusie linii 175 powiedziała Ali Borkowskiej, że nie ma gdzie spać.

- Wynajmuję w Warszawie kawalerkę. Możesz się zatrzymać na jakiś tydzień u mnie - zaproponowała Borkowska.

Początkowo na mieszkanie z Edytą nie narzekala.

- Prosiłam tylko, żeby, skoro już bierze moje kosmetyki, odkładała je przynajmniej na miejsce - mówi Borkowska.

„Tydzień” zamienił się jednak w kilka miesięcy, a Edyta ani myślała o wyprowadzce. Na dodatek nie dorzucała się do czynszu ani do innych opłat.

Borkowska nawet dziś ją jednak usprawiedliwia.

- To nie była zła wola. Ona po prostu nie rozumiała, że skoro się z kimś mieszka, wypadałoby to jakoś załatwić finansowo. Inna sprawa, że wtedy tych pieniędzy za dużo nie miała. Sporo pomagała mamie - wspomina. - Gorzej zносиłam to, że codziennie mnie budziła hałasowaniem przy śniadaniu i nieustannym snuciem się po małym przecież mieszkaniu, kiedy jeszcze spałam. W końcu się wkurwiłam, że non stop wisi na telefonie, bo nie miałam już za dużo kasy.

Borkowska poprosiła Górniak, by ta poszukała sobie innego mieszkania. Niestety, do Edyty to nie docierało. Na dodatek poskarżyła się Kubiakowi, że koleżanka ją wygania, za co ten na Alę mocno nawrzeszczał. Tego dla Borkowskiej było już za wiele: spakowała walizki Edyty i wystawiła je za drzwi. Tym razem znów z odsieczą przyszedł Wiktor Kubiak. Przygarnął! Edytę do wynajmowanego przez siebie domu w willowym osiedlu przy ul. Bukowej, nieopodal rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych. Jak wspominają artyści z „Metra”, wtedy Edyta zrobiła się już nie do ruszenia. Wiedziała, że Kubiak zawsze stanie w jej obronie i tak zresztą było. Z kolei Janusz Józefowicz twierdził, że od czasu do czasu trzeba ją sprowadzić na ziemię.

Kiedy jednak pewnego dnia Edyta znów zostawiła kartkę, że rezygnuje z występów, także i on był przerażony. Razem z Kubiakiem szukał jej po całej Warszawie. Wydzwaniali do znajomych, powtarzali, że „Metro bez Górniak” to katastrofa.

- Ona zawsze jednak tak się chowała, że ją w końcu znajdowaliśmy. Tym razem też - mówi jeden z twórców musicalu.

Tymczasem zbliżał się termin wyjazdu do Stanów. Do końca nikt z artystów nie był pewny, czy wystąpi na Broadwayu, czy nie. Jak wspominają metrowicze, ostateczna selekcja była prawdziwą gehenną. Nawet Górniak, choć miała uprzywilejowaną pozycję, nie mogła spać spokojnie.

- Nikt stąd, kurwa, nie wyjedzie - krzyczał bez przerwy na swój zespół Janusz Józefowicz.

Na szczęście obawy okazały się mocno przesadzone. Ostatecznie z pierwszego składu nie wyjechała tylko jedna tancerka, która często odnosiła kontuzje, ale i ją później zaproszono na nowojorską premierę.

Wizy, przelot, zakwaterowanie i wyżywienie oraz wynagrodzenia w USA załatwiał Wiktor Kubiak. Pomogła mu w tym przyjaźń z ówczesną attache kulturalną ambasady Stanów Zjednoczonych w Polsce. Razem z artystami za ocean zabrało się kilkadziesiąt osób w ogóle niezwiązanych z przedstawieniem, m.in. krewni i znajomi aktorów. Wielu z nich, oczywiście, nie wróciło potem do Polski.

Także Edyta, wyjeżdżając z kraju, wierzyła, że zostanie w Ameryce na zawsze. W Nowym Jorku wszyscy zostali zakwaterowani w luksusowym apartamentowcu przy Times Square. Większość osób mieszkała w dwu- lub trzyosobowych pokojach. Edyta w apartamencie Wiktora Kubiaka. Miała u niego do dyspozycji osobną linię telefoniczną.

Przez sześć tygodni trwały gorączkowe przygotowania do spektaklu. Janusz Józefowicz dwoił się i troił, żeby wycisnąć z aktorów jak najwięcej. Organizował nielegalne próby w pokojach i na korytarzach, ale szybko wyszły one na jaw. Gdy się występuje na Broadwayu, można bowiem pracować tylko na terenie teatru i to wyłącznie w określonych godzinach, płacąc aktorom i personelowi technicznemu ściśle określone stawki. Janusz Józefowicz dostał ostrzeżenie: jeśli praca na boku się powtórzy, cały zespół będzie musiał wrócić do domu.

Pierwsze przedstawienie z publicznością odbyło się 26 marca 1992 r. Oficjalna premiera 16 kwietnia, w drugiej co do wielkości sali na Broadwayu - mieszczącym 1600 widzów Minsoff Theatre.

- Pracowaliśmy tam ze wspianymi muzykami. Na przedpremierowych przedstawieniach sala wypełniona była po brzegi. I to nie Polonią, tylko Amerykanami. Dostawaliśmy owacje na stojąco, bisowaliśmy. Wszystko zapowiadało się świetnie - opowiada Monika Ambroziak, artystka pierwszego składu musicalu. - Niektórzy Amerykanie pracujący przy „Metrze” byli na tyle przekonani o sukcesie spektaklu, że spodziewali się z niego krociowych zysków. Na to konto pozaciągali nawet kredyty! W dniu premiery, artyści poszli na bankiet zorganizowany dla nich w Central Parku. Ale radość z udanego przedstawienia mieszała się z niepokojem o pierwsze recenzje. Wszyscy z niecierpliwością czekali, co napisze poranna prasa, a przede wszystkim krytyk „New York Times'a” Frank Rich. On był wtedy wyrocznią. Od tego, co opublikował, zależał dalszy los wszystkich przedstawień na Broadwayu. Nic dziwnego, że Kubiak o północy opuścił bankiet i poszedł pod redakcję „New York Times'a” po gorący egzemplarz dziennika. Recenzja Richa była druzgocąca:

„Jak się mówi po polsku „fiasko”? Jakkolwiek brzmi to słowo, nawet ono nie odda tego wyjątkowego doświadczenia, jakim jest warszawski musical. Przygnębiające i poruszające „Metro” chwilami wydaje się wzorować na dziesięć razy kopiowanej nielegalnie kasecie z Ślinowej wersji broadwayowskiego prototypu, na którą ktoś przez pomyłkę nagrał fragment „Hair”. Jeśli „Metro” jest charakterystyczne dla przenikania odpadków naszej masowej kultury do nowej Europy, to Ameryka powinna ponieść odpowiedzialność nie tylko za europejski Disneyland. Jeśli Nowy Jork ma serce, powinien postawić tym dzieciakom po porządnym steku i kupić bilety na prawdziwy broadwayowski spektakl.”

Gdy wiadomość o recenzji dotarła do uczestników bankietu, cały dobry nastrój diabli wzięli. W pewnym momencie kelnerzy zaczęli im sprzątać sprzed nosów talerze i likwidować szwedzkie stoły.

- O co chodzi? - pytali zdenerwowani Polacy.

- Jak to o co? Tb jest Ameryka! Tutaj, jak nie ma sukcesu, to goodbye - odpowiadali kelnerzy.

Z ostatnim przedstawieniem artyści wystąpili dziesięć dni później. W sumie zagrali 36 razy. Wcześniej Kubiak wyliczał, że aby poniesione przez niego nakłady się zwróciły, „Metro” powinno być grane przez osiem miesięcy, przynajmniej osiem razy tygodniowo...

Nazajutrz po premierze, wszyscy metrowicze zorganizowali pochód do redakcji „New York Timesa”. Po drodze kupili najdroższe i najlepsze steki w mieście, w znanej restauracji Sandrfs w Maitre d'Hotel.

Kilkudziesięcioosobowa grupa młodych ludzi, która nagle wtargnęła do restauracji, wzbudziła sporą sensację. W końcu wyszedł do nich nawet sam właściciel. Ktoś mu pokazał recenzję i wytłumaczył, że artyści chcą te wszystkie steki zanieść recenzentowi, który zniszczył im przedstawienie.

- Widziałem wasz spektakl. Jest świetny! - zdenerwował się właściciel. - Wszystkie steki daję wam za darmo - zaproponował.

Także ludzie na ulicy podchodzili do pochodu artystów i pytali, co to za dziwna manifestacja. Kiedy się dowiadywali, o co chodzi, niektórzy dokupowali steki i dołączali do przemarszu. Do pikiety włączyli się także muzycy z innych przedstawień, które zdjął z afisza Rich.

Do redakcji Polaków jednak nie wpuszczono. Gdy przez sekretarkę poprosili o spotkanie z recenzentem, pod biurem zjawili się kilka radiowozów policji. Wszystkie steki zostały w recepcji.

Od krytyki Richa odcięli się nawet niektórzy recenzenci. Dwa dni po jego artykule Frank Wood pisał na łamach konkurencyjnego „New York Daily News”:

Do recenzji „Metra” (Franka Richa - przyp. aut.) trzeba dodać jedną uwagę: my w Nowym Jorku, i w ogóle w Stanach, przywykliśmy uważać, że wszystko, co robimy, jest znacznie lepsze, niż w innych krajach. Nie interesujemy się poczynaniami cudzoziemców, gdyż z góry osądzamy je jako prymitywne, zacofane i gorsze od naszych. Jeżeli „Metro” nie znajdzie zaufania amerykańskiej publiczności, to znaczy, że już nic nie jest w stanie nas uratować. Założę się, że kiedy na Broadwayu zostanie wystawiony następny modny musical, w którym, podobnie jak w warszawskim spektaklu, zostaną użyte lasery, technika czarnego światła i inne oryginalne pomysły, będziemy wynosić je pod niebo jako genialne amerykańskie wynalazki!”

Po broadwayowskiej klapie aktorzy wracali do Warszawy. Część przyleciało od razu, inni zostali kilka tygodni, póki starczyło im pieniędzy i nie wygasły opłaty za hotel. Edyta postanowiła zostać dłużej, tym bardziej, że w USA znalazła sobie narzeczonego. Związek jednak długo nie przetrwał, a artystka po kilku miesiącach wróciła do Polski. Znowu zamieszkała w domu Wiktora Kubiaka. Tym razem miała jednak współlokatorkę i po raz kolejny była nią Ala Borkowska, z którą w tym czasie związał się producent musicalu.

Górniak wróciła też do gry w „Metrze”. Teraz miała status niekwestionowanej gwiazdy. To przede wszystkim do niej podchodziły po przedstawieniach nastolatki i jej imię wypisywano na murach Teatru Dramatycznego. Podczas prób dzieciaki zakradały się na widownię, żeby potem godzinami przesiadywać w garderobie Edyty. Przynosili jej kanapki, pamiętali o urodzinach.

Gorzej układały się jej relacje z zespołem. W pewnym momencie prawie nikt się już do niej nie odzywał. Skonfliktowała się ze wszystkimi.

- Moim zdaniem to wszystko przez Wiktora Kubiaka. Po Stanach, on na jej punkcie dosłownie zwariował. Niemalże nie pozwalał jej dotknąć - opowiada jeden z aktorów.

Ci, którzy lepiej znali Edytę, starali się go ostrzec.

- Zobaczysz. Wyciśnie cię jak cytrynę, a potem porzuci - mówił Robert Janowski.

Na Kubiaku nie robiło to jednak większego wrażenia. Producent „Metra” był w teatrze podczas blisko 330 spektakli. Nie zawsze na widowni, bo w foyer Dramatycznego miał swój gabinet i przyjmował tam gości. Jednak, niezależnie od rangi spotkania, gdy tylko usłyszał „Litanię”, przerywał rozmowę. Przepraszał gości i wchodził środkowym wejściem na widownię. Edyta o tym wiedziała i widać było, że podtrzymuje ją to na duchu.

Piosenkarka bardzo często odwiedzała biuro Kubiaka na 18. piętrze hotelu „Marriott”. Często mu tam sprzątała i... wyjadała z lodówki jogurty, których zawsze było pełno.

- Ona się odżywiała bardzo skromnie. W domu jadła czerstwy chleb podsmażany na oleju, a większość pieniędzy przekazywała swojej mamie - opowiada jeden z kolegów piosenkarki.

Oszczędzała na jedzeniu, ale nie na telefonach. Kiedy w Polsce ruszała duża sieć komórkowa, okazało się, że jednym z jej dyrektorów jest przyjaciel Wiktora Kubiaka. Wciągnął go na listę VIP-ów i dał bezpłatnie dwa numery telefonu. Dla Edyty to był raj. W ciągu dwóch lat podobno nagadała się na... pół miliona dolarów. Operator był przerażony. W efekcie zlikwidował gratisowe rozmowy nie tylko dla niej, ale dla

wszystkich VIP-ów.

W tym czasie piosenkarka postanowiła uzupełnić swoje wykształcenie, bo decydując się na udział w musicalu, rzuciła polskie technikum. Razem z Katarzyną Groniec zapisały się do wieczorowego liceum dla dorosłych przy Politechnice Warszawskiej, ze względu na niski poziom, zwanego ironicznie „Sorboną”. Jednak po kilku zajęciach Edyta zrezygnowała z edukacji. Do szkoły nigdy już nie wróciła.

W 1993 roku otrzymała propozycję wzięcia udziału w festiwalu piosenki krajów nadbałtyckich w Karlshamn. Choć była faworytką, zdobyła trzecie miejsce. Podczas wyjazdu towarzyszyli jej Wiktor Kubiak, Ala Borkowska i ówczesny chłopak Dariusz Kordek. We wrześniu Edyta zagrała jeszcze w przygotowywanym przez „tandem Januszów” (Stokłosę i Józefowicza) spektaklu „Do grającej szafy grosik wrzuć”. Dwa miesiące później wystąpiła w siedemsetnym przedstawieniu „Metra”, potem w spektaklu z piosenkami Jacquesa Brela. Z zespołem rozstała się w atmosferze konfliktu. Opowiadała, że koleżanki z zazdrości niszczą jej kosmetyki, rozlewają perfumy.

Pewnego dnia poprosiła wszystkich na scenę.

- Dziś zagrałam ostatni raz - powiedziała po cichu.

Nikt za bardzo się tym jednak nie przejął.

Po kilku latach Górniak pojawiła się w teatrze ponownie, żeby zagrać w tysięcznym przedstawieniu „Metra”. Wparowała z kilkoma ochroniarzami, jakby się bała, że ktoś jej zrobi krzywdę. Narobiła zamieszania. W tym spektaklu brali też udział Rosjanie, którzy na co dzień grali w Moskwie.

- Uważali się za lepszych od nas, ale gdy usłyszeli w jej wykonaniu „Litanię”, opadły im szczęki - wspomina jedna z piosenkarek „Metra”.

To nie ja skradłam niebo

Piękna, młoda kobieta stoi w świetle jupiterów na scenie w Dublinie. Cała Europa patrzy na nią z zachwytem. Wydaje się pewne, że to właśnie ona zwycięży na festiwalu Eurowizji. Ale tak się nie dzieje. Dlaczego Edyta Górniak nie wygrała? Co się wydarzyło za kulisami? I dlaczego ten występ nie zaowocował międzynarodową karierą?

Wiadomość o tym, że nasz kraj weźmie udział w konkursie, gruchnęła już na początku 1994 r. Telewizja Polska, która miała wysłać swojego kandydata, wybrała właśnie Górniak.

Jak wspomina Ala Borkowska, aktorka i była żona menedżera Edyty, Wiktora Kubiaka, na przygotowanie się do tego koncertu nie było dużo czasu. To właśnie ona wyszukała Edycie świetną muzykę Stanisława Syrewicza, do której gorączkowo poszukiwano również dobrych słów.

Pierwszą propozycję tekstu napisał prawnik Mariusz Ejsmont, znajomy Ali Borkowskiej. Zadzwoił do niego Kubiak.

- Potrzebuję tekstu dla dziewczyny, która będzie reprezentowała Polskę na Eurowizji. Mamy na to tylko jeden dzień - rzucił do słuchawki.

Także przez telefon zaprezentował Ejsmontowi linię melodyczną. Miała nieco inny rytm niż ostateczna wersja utworu.

Zgodnie z ówczesnym regulaminem festiwalu, utwór musiał być w ojczystym języku wykonawcy. Kubiak zdawał sobie sprawę, że dla cudzoziemskich uszu polski język brzmi twardo. Dlatego zaproponował, by w tekście znalazło się kilka wyrazów zrozumiałych dla obcokrajowców. Podobny zabieg w poprzednich latach z powodzeniem stosowali artyści z Niemiec i Szwecji z legendarną Abbą włącznie. W ciągu kilku godzin Ejsmont napisał tekst:

*Tak daleko Werona
A ta miłość to o nas...
Ile odbyć mam słów
Aby ciebie przekonać?*

*Tak daleko Werona
A my z dłońmi na dłoniach
Niecierpliwi do krwi,
Zbyt nie pewni, by drwić
Z naszych scen i balkonów...*

Wiktor Kubiak nie był zachwycony.

- Mimo wszystko tekst za bardzo szeleści - ocenił stanowczo.

Wtedy Edyta uparła się, by autorem słów do jej piosenki był Jacek Cygan. Artystka poznała go pięć lat wcześniej w Opolu, gdzie przyjechał na festiwal z Krzysztofem Antkowiakiem. Cygan przyznaje, że Edyta zrobiła na nim wtedy duże wrażenie, zapalali też do siebie sympatią. Dlatego bez problemu przystał na propozycję. Pewnie się nie spodziewał, jak trudna czeka go praca. Edyta ciągle wydzwaniała z uwagami do kolejnych wersji piosenki, których w sumie było chyba kilkadziesiąt. Także Wiktor Kubiak dążył do perfekcji. Do pracy nad piosenką specjalnie zaangażował brytyjskiego przyjaciela Gerhama Suckera, który wielokrotnie zajmował się przygotowywaniem Anglików do Eurowizji. Doskonale więc znał specyfikę tego konkursu.

Jak mówi Jacek Cygan, w sumie nad tekstem pracowano około trzech tygodni.

- Chodziło o to, by połączyć melodyjność muzyki z tekstem. To musiało pięknie brzmieć dla ludzi, którzy nie rozumieją po polsku - tłumaczy.

Przed wylotem do Dublina Edyta spędziła dwa tygodnie w Hongkongu z Wiktorem Kubiakiem i Alą Borkowską. Kubiak jechał tam w interesach i zabrał Edytę, by znalazła sobie odpowiednią kreację na festiwal. Hongkong był wtedy znanym skupiskiem młodych designerów.

- Zrobiliśmy świetne zakupy. Kreację Edyty kupiliśmy w Oceans Center Kaolun, gdzie mieszczą się najciekawsze sklepy. Białą plisowaną sukienkę zaprojektowała i wykonała nieznana jeszcze wtedy nikomu Chinka Vivienne Tam. Za wszystko płacił Wiktor - wspomina Borkowska.

Azjatycka podróż była też okazją do regeneracji sił przed występem: po zakupach Edyta godzinami smażyła się na słońcu popijając kolorowe drinki w hotelu New Te, na północnej granicy Hongkongu. Później wodną taksówką dojechała na wyspę, gdzie czekali na nią Wiktor i Ala.

Prosto z Azji cała trójka poleciała do Wielkiej Brytanii. W Londynie Edyta musiała nagrać piosenkę w dwóch wersjach językowych: polskiej i angielskiej. Gotową płytę należało dostarczyć do organizatora konkursu. Podczas nagrań towarzyszył jej także Jacek Cygan.

Edycie ciągle coś nie pasowało. Kazała poprawiać kolejne detale. Doprowadzała tym do szwskiej pasji przede wszystkim Stanisława Syrewicza, który po prostu psy na niej wieszał. Także pracownicy studia wychodzili z siebie.

- Wielkie gwiazdy, takie jak Tina Turner, wchodzą do studia i w kilka dni nagrywają całą płytę. A tu jakaś polska piosenkarka męczy się tak długo z jednym utworem! - komentowali między sobą.

- Ma być najlepiej, jak tylko się da - usprawiedliwiał jednak Edytę Jacek Cygan.

Wyteżona praca przyniosła efekty: po wyemitowaniu konkursowych utworów w irlandzkiej telewizji, Edyta stała się faworytką konkursu.

Przygotowania do występu szły pełną parą, choć nie obyło się bez trudności. Kilkanaście dni przed finałem Edyta wraz z mieszkającymi wówczas w Londynie Wiktorem Kubiakiem i Alą Borkowską jechali samochodem do Dublina. Spieszyli się na bardzo ważną próbę, na którą byli spóźnieni. Kubiak pędził z prędkością 108 mil na godzinę, tymczasem w Irlandii dozwolona prędkość to 70 mil. Złapali go policjanci, którzy, zgodnie z tamtejszym prawem, chcieli odebrać samochód i odprowadzić auto na parking strzeżony. Negocjacje trwały kilkadziesiąt minut. Dopiero kiedy Kubiak wyciągnął argument Eurowizji, policjanci się ugięli.

- Wiozę piosenkarkę na festiwal. Jeśli odbierzecie mi auto, cały występ diabli wezmą - tłumaczył.

Poskutkowało. Policjanci zabrali mu prawo jazdy, wystawili wniosek do sądu, ale na szczęście pozwolili jechać dalej.

W sumie, ratowanie występu Edyty Kubiak przypłacił utratą prawa jazdy na miesiąc i czterema tysiącami funtów grzywny. Na miejscu okazało się, że feralna podróż była dopiero początkiem kłopotów. Podczas prób Edyty robiła straszne sceny, doprowadzając współpracowników do ostateczności. Kiedy zabrakło jej o czwartej rano ciastek, trzeba było lecieć do sklepu i natychmiast je kupić. Jediną osobą, która potrafiła w takich sytuacjach sprowadzić Edytę na ziemię, był Syrewicz, który często jej zresztą docinał. W nielicznych wolnych chwilach między próbami a odpoczynkiem Edyta, Wiktor i Ala chętnie odwiedzali restauracje. Nie przepadali za zwiedzaniem, ale też nie mieli ochoty spędzać czasu w obskurnym, szarym hotelu, który wynajęła im publiczna telewizja. Kilka dni przed konkursem ówczesny ambasador Polski w Irlandii Ernest Bryll zaprosił całą trójkę do starej, drewnianej restauracji pod Dublinem.

Wkrótce rozpoczęły się próby z udziałem publiczności. Już po pierwszej, polska reprezentantka została uznana za objawienie.

- Zrobiła wielkie wrażenie. Niektórzy przychodzili tylko po to, by wysłuchać jej piosenki - wspomina Jacek Cygan.

Nawet organizatorzy obchodzili się z Edytą jak z jajkiem i traktowali ją z ogromnym szacunkiem. Ona, wyczuwając całą sytuację, była w stosunku do nich bardzo miła. Niestety, wkrótce pojawiły się problemy. Przed wyjazdem do Dublina polscy organizatorzy wyjazdu stwierdzili, że szkoda wydawać pieniędzy na podróż i hotel dla chóru, bo przecież „znajdzie się kogoś na miejscu”. Tymczasem, okazało się, że towarzyszący piosenkarce irlandzki chór ma problemy z zaśpiewaniem prostego przecież refrenu. Na dodatek fałszuje... Na szczęście kogoś olśniło.

- Przecież Ala Borkowska świetnie śpiewa. Występowała przecież w kilkuset przedstawieniach „Metra”. Teraz mogłaby zaśpiewać w chórze - zaproponował ktoś przytomnie.

Borkowska nie była zachwycona, ale zgodziła się ratować koleżankę. Przypadek sprawił, że miała ze sobą czarną sukienkę, którą razem z Edytą kupiły w Hongkongu. Mogła wystąpić.

Wydawało się, że w drodze do zwycięstwa polskiej reprezentantce nic już nie zaszkodzi. Jednak Kubiak postanowił wywołać międzynarodowy skandal. Miał on pomóc w sukcesie, bo dzięki niemu wszyscy mieli Polkę zapamiętać. Przed ostatnią, generalną próbą, która jest transmitowana do jurorów we wszystkich krajach biorących udział w konkursie, Wiktor namówił Edytę, by fragment piosenki zaśpiewała po angielsku. Artystka posłuchała jego rady.

Wyszła na scenę w innym stroju niż podczas finału. Była ubrana w krótką, rozkloszowaną spódniczkę, co sprawiało, że jej nie najchudsze uda wyglądały jeszcze grubiej. W dodatku założyła jeszcze cieliste, błyszczące rajstopy, w których wyglądała nie najlepiej. Edyta czuła, że coś jest nie tak, bo po zejściu ze sceny zaczęła zdenerwowana rzucać jakieś niewybredne uwagi pod adresem Stanisława Syrewicza, który dość dosadnie wypowiedział się o jej wyglądzie. To była chyba ostatnia wymiana zdań między nimi. Potem już nigdy się do siebie nie odzywali.

Ale prawdziwa afera wybuchła nieco później: jurorzy ośmiu krajów m.in. Szwecji i Hiszpanii, zaczęli się domagać dyskwalifikacji polskiej uczestniczki. Chodziło o użycie w czasie występu zakazanego regulaminem angielskiego.

- Inni uczestnicy potraktowali to jako oszustwo, niedozwoloną próbę załatwienia sobie międzynarodowej kariery. Słusznie zresztą, bo taki był cel Wiktora - wspomina Ala Borkowska.

Zrobiło się naprawdę groźnie. Na trzydzieści minut przed rozpoczęciem konkursu do polskiej ekipy przyszedł jeden z organizatorów i powiedział, że osiem krajów zgłosiło ustne protesty. Jeśli nadejdą na piśmie, Edyta może w ogóle nie wystąpić.

- Wszyscy zamarliśmy. Moim zdaniem było to nie-sportowe zachowanie - wspomina Jacek Cygan.

Kubiak postanowił odciąć Edytę od wszelkich informacji na ten temat. Ani on sam, ani nikt z ekipy nie informował Edyty o powadze sytuacji. Bano się, że każda zła informacja może wpłynąć na jej występ. Jak się okazało, słusznie, bo ostateczna decyzja organizatorów była korzystna dla Edyty. Polka została w

konkursie.

W sobotę 30 kwietnia o godz. 20 w Polsce przed telewizorami zasiadło 12 milionów ludzi. Edyta śpiewała w drugiej części koncertu. Tuż przed wyjściem na scenę sparaliżowała ją trema. Kiedy ją zapowiedziano, Kubiak musiał ją dosłownie wypchnąć na scenę. Pojawiła się na niej w białej plisowanej sukni, która w kraju budziła wiele kontrowersji. Dziennikarze poinformowali, że artystka wydała na nią 30 milionów starych złotych, co dla większości Polaków było zawrotną sumą. Nikt nie kwestionował jednak, że Edyta wyglądała świetnie. Pięknie, skromnie i z klasą, jak prawdziwa diwa. Zaśpiewała fantastycznie. Gdyby podczas konkursu możliwe były bisy, Górniak długo nie zeszłaby ze sceny.

Kiedy Edyta skończyła i weszła do tak zwanego greenroom, w którym gromadzili się artyści i ich ekipy, wszyscy wstali i zgotowali jej trzyminutowe owacje. Artysty, który śpiewał po Edycie, nikt nie słuchał. Prawdziwa gra nerwów rozpoczęła się z chwilą, w której ze sceny zszedł ostatni wykonawca, a poszczególne kraje zaczęły przyznawać punkty. Na zmianę z reprezentującymi gospodarzy Paulem Harringtonem i Charlie'm McGettiganem, Edyta skakała z miejsca pierwszego na drugie. Okazało się jednak, że mimo decyzji organizatorów, niektóre kraje postanowiły ją ukarać za angielskie wykonanie fragmentu piosenki podczas próby. Dawano jej bowiem albo maksymalną ilość punktów, albo całkowicie pomijano przy werdykcie. W tej sytuacji musiała przegrać z Irlandczykami.

- Po ogłoszeniu wyników, zwycięzcy natychmiast podeszli do Edyty i pogratulowali występu. Tak samo uczyniła pani prezydent Irlandii. To było ogromne przeżycie nie tylko dla Edyty, ale dla nas wszystkich - mówi Jacek Cygan.

Mimo to, Edyta była bardzo rozczarowana. Także Wiktor Kubiak nie krył zdenerwowania. Wiedział, że to wywołany przez niego skandal pogrzebał Polsce szanse na zwycięstwo. Na użytek dziennikarzy i publiczności wymyślił jednak wymówkę: wykonanie fragmentu piosenki w obcym języku miało być spowodowane poważnymi problemami z gardłem, które rzekomo zagrażały nawet utratą głosu! A śpiewać po angielsku było Edycie po prostu łatwiej.

Gorycz porażki postanowiła osłodzić obsługa dublińskiego hotelu, w którym mieszkała nasza wokalistka. Gdy Edyta Górniak wróciła około 5 rano do swego pokoju, pracownicy oraz goście przywitani ją owacjami. Jeszcze milej przyjęto Edytę w Polsce, gdzie jej drugiego miejsca nikt nie odbierał jako porażki. Z dnia na dzień stała się niemal boginią. Pojawiała się na okładkach najważniejszych pism, udzielała setek wywiadów stacjom telewizyjnym i radiowym. Piosenka „To nie ja” szybko znalazła się na pierwszych miejscach list przebojów.

Ale pasmo skandali się nie skończyło, choć tym razem o jakiegokolwiek winie piosenkarki nie mogło być mowy. Otóż izraelski kompozytor i piosenkarz Joni Nameri stwierdził, że muzyka do hitu Edyty Górniak została skomponowana przez niego kilka lat wcześniej, a jej polska wersja jest plagiatem. Okazało się, że już w 1986 roku wydał on płytę z identycznie brzmiącą piosenką. Zapowiadał się proces. Na szczęście Syrewicz przedstawił dowody, że to on jest autorem muzyki. Skomponował ją jeszcze w 1984 r. z myślą o amerykańskim zespole „Chicago”. Angielskie słowa napisał wtedy autor światowej sławy musicali Don Black. Demo utworu rozesłano kilku wydawcom i prawdopodobnie od któregoś z nich przebywający wtedy w USA Nameri dostał kompozycję. Sprawa szybko przycichła. Nikt też nie pamiętał o skandalach związanych z występem Górniak. Aktualne pozostawało jednak pytanie: co Edycie mogłoby dać zwycięstwo, które wraz z Kubiakiem zaprzepaściła?

Tak naprawdę chyba niewiele. Artystka nie miała wtedy w swoim dorobku żadnej płyty. Nie miała przygotowanych piosenek, które można by wykonać po angielsku i rzucić na międzynarodowy rynek. W Europie szybko o niej zapomniano, ale dzięki Eurowizji w kraju zdobyła prawdziwą sławę. Miała tu miliony oddanych wielbicieli, wkrótce zaczęła też pracę nad pierwszym solowym albumem.

Fani - lek na całe zło

Bezkrytyczni. Pełni uwielbienia, zapatrzeni w nią, bez względu na to, co robi. Gotowi się pozabijać, aby

być bliżej niej. Edyta Górniak w swoich fanach znalazła lek na wszystkie swoje kompleksy. Dlatego poświęca im niezwykle dużo czasu. Zaszczycą ich swoją obecnością, stwarza pozory, że o nich dba. Oni w zamian dają jej to, czego zawsze jej brakowało: bezgraniczną miłość.

Jeszcze gdy grała w „Metrze”, tabuny wielbicieli wdzierały się do teatru, by się z nią spotkać. A ona wcale ich nie przepędzała. Wręcz przeciwnie - dla każdego znalazła czas, z każdym zamieniła choć kilka zdań. Interesowała się ich życiem, szkołą, miłościami.

- Pamiętam te dziewczynki, które przychodziły pod Dramatyczny. Właściwie tylko dla Edyty. Ale dziś nawet one ją zostawiły - mówi jedna z aktorek musicalu.

Fani byli dla Edyty lekiem na kompleksy. Dopieszczali ją, chwalili, komplementowali. W zamian mogli przez kilka minut побыć sam na sam ze swoją idolką. Z czasem z rzeszy fanów wyłoniła się kilkunastoosobowa grupa zapaleńców, którzy jeździli z nią na każdy koncert, brali udział w nagraniach programów, prowadzili fankluby, pisali do niej listy. Zwierzali się ze swych pierwszych miłości, a artystka odwdzięczała się im taką samą szczerością. Później zresztą ta elitarna grupa najwierniejszych fanów stała się kopalnią wiedzy dla dziennikarzy. Gdy wszyscy chcieli się dowiedzieć, kim jest brytyjski narzeczony Edyty Górniak, sama artystka opowiadała, że tak naprawdę tajemniczy Paul... nie istnieje. Wtedy właśnie ujawnili prawdę: przecież znali szczegółowo historię tego romansu, niektórzy nawet osobiście poznali Paula i kilkakrotnie się z nim spotkali m.in. w Krakowie i Olsztynie. Przez lata grono najwierniejszych fanów się zmieniało. Dziś z pierwotnego składu nie ma już w nim chyba nikogo.

Pierwszy autoryzowany fanklub Edyty Górniak nazywał się „One&One”. Stworzyła go dziewczyna o imieniu Urszula. Wkrótce pojawił się drugi „Hope for us” prowadzony przez Bartka i Magdę. Oba ostro ze sobą konkurowały.

- Tb jakaś straszna historia - opowiada jeden z byłych menedżerów artystki. - Dochodziło do wojen, intryg. Jedni nadawali Edycie na drugich. Ona w tych rozgrywkach pośrednio uczestniczyła.

Swoim wielbicielom Edyta zawsze poświęcała mnóstwo czasu. Potrafiła godzinami wisieć na telefonie i z nimi rozmawiać. Jeszcze do niedawna odpowiadała na każdego e-maila, każdy list. Kontaktowała się z fanami, którzy robili jej strony internetowe. Po koncercie potrafiła siedzieć z nimi po pięć, sześć godzin, nieraz do późnej nocy.

- Przez to zawałała umówione spotkania, kazała przekładać wywiady. Zdarzało się, że prosiła muzyków, by odwieźli kogoś z wielbicieli na dworzec czy do domu. Fani byli zachwyceni. Myśleli: „Edzia ma tyle spraw na głowie, a jeszcze troszczy się, że nie zdałam egzaminu”. Ale to była transakcja wiązana. Oni odpłacali się jej niezwykle delikatnością solidaryzowali się z nią w trudnych momentach. Dla niej byli fantastycznymi, wrażliwymi ludźmi, jedynymi, którzy ją naprawdę rozumieją. Edyta często powtarzała, że żadna inna artystka nie ma takich wielbicieli. Mówiła: „moi - to ludzie na poziomie” - opowiada były przyjaciel piosenkarki.

Aby pomóc im, gotowa była zaangażować także swoich bliskich. Kiedy jej partner Robert Kozyra kupował nowe mieszkanie, Edyta poprosiła, by starego nie sprzedawał. Chciała zaprosić do niego swoich wielbicieli z Bydgoszczy, którzy planowali przyjazd do Warszawy w poszukiwaniu pracy. Zapewniała, że będzie płaciła czynsz i wszelkie opłaty. Okazało się, że wszystko, w tym gigantyczne rachunki telefoniczne, musiał jednak pokryć sam Kozyra.

Szczególnym zaufaniem Edyta obdarzała szefów fanklubów. Taki ktoś niemal od razu stawał się jej przyjacielem. Piosenkarka wpadała do niego w odwiedziny, dawała się zaprosić na kolację. Przykładem jest Bartek, kiedyś w wielkiej zażyłości z Edytą, dziś wyeliminowany przez konkurencję. Poznał Edytę w 1997 roku w Empiku, gdzie piosenkarka podpisywała swój pierwszy anglojęzyczny album.

- Byłem jednym z pierwszych, którzy przyszli pod sklep. Aby się nie spóźnić, wziąłem wolne w pracy. Gdy podszedłem do stolika, ledwo byłem w stanie wydusić prośbę o autograf. Tb był jakiś paraliż. Wszystko trwało najwyżej trzy minuty, ale dla mnie były to najważniejsze trzy minuty w życiu - wspomina.

W kolejce po autograf Bartek nawiązał kontakty z innymi fanami Edyty. Od tej pory razem jeździli na koncerty. Zbierali ze sobą transparenty, na których wypisywali komplementy pod adresem artystki. Po

jakimś czasie awansowali do ścisłego grona najwierniejszych. W końcu Edyta zgodziła się, by Bartek prowadził jeden z jej fanklubów. Odpisywał na listy, organizował spotkania z gwiazdą, prowadził stoisko z płytami i plakatami podczas tras koncertowych. W sumie z piosenkarką spotkał się 60 razy.

Iwona, inna fanka Edyty, przechowuje kilkaset fotografii idolki, ma też cztery grube zeszyty formatu A-5, do których wkleiła kilkaset artykułów o piosenkarce z odręcznymi komentarzami. Mówi, że to jej modlitewniki, i tak je właśnie traktuje. Każda strona zafoliowana, rogi obcięte, by się nie zaginały. Iwona poznała Edytę mniej więcej w tym samym czasie, co Bartek. Współprowadziła jej fanklub, na potrzeby którego wynajęto trzypokojowe mieszkanie. Czynnosc opłacała artystka, ale członkowie fanklubu musieli wpłacać na jego potrzeby miesięczną składkę wysokości 5 zł. Po niespełna roku znajomości Górniak odwiedziła Iwonę. Razem spędzili cały dzień. Do przyjazdu gwiazdy przygotowywała się cała rodzina. Mama przygotowywała obiad złożony z ulubionych dań artystki. Jej przyjazd zrobił też niemałe zamieszanie na osiedlu.

Iwona potrafiła jechać przez całą Polskę, by zawieźć artystce ugotowane przez mamę jej ulubione... ruskie pierogi. Czasami dochodziło do zabawnych sytuacji.

- Kiedyś prosto z Dworca Centralnego pobiegłam na Plac Zamkowy, gdzie artystka miała występ. Okazało się, że w koncercie brał też udział prezydent. Kiedy chciałam wejść za kulisy, zatrzymali mnie oficerowie Biura Ochrony Rządu. Zdziwił ich mój duży plecak. Gdy znaleźli w nim termos z pierogami, byli w szoku -śmieje się Iwona.

Edyta była jednak zachwycona. Nie zwracając na nic uwagi, usiadła przy scenie i jadła. Po koncercie zaprosiła swoją fankę do drogiej restauracji w Sheratonie. Jednak przyjaźń po jakimś czasie się skończyła, choć Iwona do dziś nie wie, dlaczego gwiazda nagle zerwała z nią kontakt. Najprawdopodobniej ktoś z konkurencyjnego fanklubu rozpuścił na jej temat plotki, w które artystka uwierzyła. W pewnym momencie oficjalne fankluby były ze sobą tak skłócone, że nie potrafiły się nawet dogadać w sprawie organizacji urodzin artystki. W końcu odbyły się dwie konkurencyjne imprezy. Jedna z nich w warszawskim klubie „Tam Tam”. Połowę kosztów wynajęcia sali i cateringu pokryła Edyta Górniak, reszta pieniędzy pochodziła ze składek fanklubu. Relacja (zatytułowana „Wspaniały dzień”) zamieszczona w wydawanej przez „Hope for us” gazetce świetnie oddaje stosunek fanów do swej gwiazdy:

15 listopada 1998 roku w warszawskim klubie „Tam Tam” odbyło się spotkanie Edyty Górniak z fanami. Impreza rozpoczęła się o godzinie 16.00 i trwała kilka godzin. Część z Was miało okazję uczestniczyć w tym spotkaniu. Ci, którzy nie skorzystali z naszego zaproszenia, niech żałują, gdyż naprawdę było cudownie. Jak wszyscy zapewne wiecie, 14 listopada Edytka obchodzi swoje urodzinki, niestety tego dnia nie mogliśmy zorganizować spotkania, ponieważ nasza Artystka występowała w warszawskim Hotelu Marriott (Edzia, dziękujemy z całego serca za spotkanie tego dnia. Kochamy Cię!)- W „Tam Tam” nasze spotkanie rozpoczęło się przemówieniem, podczas którego wraz z Magdą byliśmy bardzo zdenerwowani, a po zakończeniu jeszcze bardziej wzruszeni. Tego ostatniego nie kryła też Edytka. Te parę słów, które przeczytaliśmy, było o nas i, oczywiście, o Edzi. Artystka też powiedziała parę słów, które na zawsze pozostaną w naszej pamięci. Następnie był obiad, rozmowy, zdjęcia, a po pewnym czasie w klubie „Tam Tam” zgasły światła i wniesiono urodzinowy tort, na którym paliła się odpowiednia ilość świeczek. Wszyscy zebrani wstali i zaczęli śpiewać szanownej Jubilatce „Sto lat”. Były kwiaty, prezenty, ale nie mogło zabraknąć życzeń. Każdy z zebranych powiedział jedno życzenie dla Edytki, mamy nadzieję, że się spełnią... Myślę, że całe spotkanie było udane, przynajmniej dla nas. Trzeba niestety przyznać, że wszyscy byli bardzo zdenerwowani spotkaniem z Edzią. Niektórzy mogą nam zarzucić, że to spotkanie było tylko nasze i Edytki, że chcieliśmy mieć Ją tylko dla siebie. Ci, którzy tak sądzą, są w wielkim błędzie. Gdybyśmy chcieli mieć Edytkę tylko dla siebie, nie organizowalibyśmy tego spotkania; jeśli jednak mimo to ktoś czuje się obrażony, dlatego że Edyta rozmawiała trochę więcej z nami, to dlatego, że my się dobrze znamy. Nikt z fanów nie może oczekiwać, że będzie miał Edytkę dla siebie, gdyż nie jest Ona rzeczą, którą można sobie kupić. Moim zdaniem na przyjaźń i zaufanie trzeba sobie zasłużyć, trzeba najpierw bardzo wiele z siebie

dać... A potem? Może coś się narodzi.

Magda i Bartek.

Autorzy artykułu zapewne nie wiedzieli, że tego samego dnia rano Edyta obchodziła swoje urodziny z konkurencyjnym fanklubem „One&One”. Impreza odbyła się w domu jednej z członkiń klubu. W podwarszawskim Zalesiu bawiło się osiemdziesiąt osób, czterokrotnie więcej niż w „Tam Tamie”. Zaproszono tam fotoreportera kolorowego pisma „Popcorn”, a zrobione przez niego w trakcie urodzin zdjęcia ukazały się później w gazecie. W rezultacie chytry plan artystki, by uniknąć wojny między fanklubami, wziął w łeb. Ani jedni, ani drudzy nie byli zadowoleni.

Ucieczka

O Edycie Górniak mówi się, że nigdy nie miała szczęścia do ludzi. Z jednym, jedynym wyjątkiem: Wiktora Kubiaka. Wszystkie sukcesy osiągnęła pod jego skrzydłami. Odkąd go opuściła, w jej karierze nie wydarzyło się właściwie nic. Oprócz hymnu w Korei, wulgarnego listu do dziennikarzy i pobicia fotoreportera.

Pierwszy raz zetknęła się z Kubiakiem podczas przygotowań do musicalu „Metro”, którego on był producentem. Jednak, zanim ostatecznie wziął jej sprawy w swoje ręce, minęło kilka lat. Pierwszy kontrakt menedżerski i płytowy podpisała z należącą do Kubiaka, zarejestrowaną w Holandii firmą Orca, tuż przed festiwalem Eurowizji w 1994 r. Obejmował nagranie sześciu płyt. Kubiak zawarł z kolei umowę na ich wydanie z wytwórnią Pomaton EMI. W kontrakcie z artystką zagwarantował sobie dwadzieścia procent z każdego koncertu, jednak nigdy nie wziął od niej ani grosza.

- Jak kiedyś nie będziesz wiedziała, co robić z pieniędzmi, to mi zapłacisz - powtarzał.

Zdaniem Alicji Borkowskiej, jego byłej żony, Wiktor Kubiak wiedział jedno: Górniak ma być największa na świecie. Przez lata był dla niej ojcem, przyjacielem i menedżerem. Wszystko jej wybaczał.

Kubiak to osoba bardzo tajemnicza. Rocznik 1945, biznesmen. W latach sześćdziesiątych wyjechał do Szwecji, gdzie zajmował się m.in. tworzeniem kolekcji dla domów mody oraz transportem. Po upadku komunizmu, postanowił się zaangażować w polską branżę rozrywkową. Głośno zrobiło się o nim wtedy, gdy postanowił wyprodukować i sfinansować musical „Metro”.

- Najlepszy biznes to show-biznes. Jako pierwszy w Polsce uwierzyłem, że na kulturze można zarobić -mówił w kwietniu 1992 r. w wywiadzie dla „New York Timesa”. Dziennik przedstawiał go jako „pierwszego biznesmena z Europy Wschodniej, który inwestuje w USA”.

Tb pod okiem Kubiaka, Górniak przygotowywała się do Eurowizji i nagrywała teledysk do angielskiej wersji utworu „To nie ja”. To on zapłacił za produkcję i wideoklip. Wkrótce krążek z angielską wersją przeboju trafił na rynek niemiecki.

- Kiedy jechaliśmy przez Niemcy, zatrzymaliśmy się w Monachium przy jednym ze sklepów muzycznych.

Wcześniej, w tajemnicy przed artystką, uzgodniliśmy z właścicielem, że wyłoży jej płytę. Edyta cieszyła się jak dziecko. Jej entuzjazm nagrywał kamerą wynajęty dziennikarz - wspomina były przyjaciel piosenkarki.

- Niestety, płyta w Niemczech się nie sprzedała.

W 1993 roku Wiktor wyjechał z Polski do Londynu. Nadal jednak opiekował się karierą Edyty. Po Eurowizji umawiał jej wywiady, dobierał repertuar na nową płytę, organizował trasy promocyjne i koncertowe. Piosenkarka coraz częściej go odwiedzała, z czasem właściwie sprowadziła się do jego brytyjskiego mieszkania. Wolny czas spędzała albo na wielogodzinnych rozmowach telefonicznych z Polską, albo w salonie odnowy biologicznej SPA, po przeciwnej stronie ulicy. Jednak nawet tam nie odważyła się chodzić sama: zawsze albo Kubiak, albo jego żona Ala Borkowska, musieli ją tam zaprowadzić, a potem zapłacić i odebrać.

To właśnie w Londynie powstały teledyski do debiutanckiej płyty „Dotyk”. W jednym z klipów wystąpił

znaleziony przez agencję modeli Max. Był pół-Indonezyjczykiem, pół-Holendrem. Edyta nie ukrywała, że wpadł jej w oko.

- Po nagraniu zaproponował jej spotkanie. Była speszona, ale poszła. Wróciła rano - opowiada Ala Borkowska

Do teledysku „Jestem kobietą” Wiktor wynajął Edycie Priscillę, znaną brytyjską choreografkę, która pracowała też m.in. ze Spice Girls. Dzięki niej w klipie wystąpili najlepsi tancerze, jakich dało się wówczas znaleźć w Londynie.

Brytyjscy tancerze towarzyszyli także Edycie na sopockim festiwalu w 1995 roku. Tym razem jednak byli znacznie gorsi. Ci z teledysku pojechali bowiem na trasę koncertową z zespołem Bananarama. Mimo to, dali show, jakiego polska publiczność nigdy nie oglądała.

Przez cały czas Kubiak planował jednak międzynarodową karierę Edyty. Gdy w Polsce wychodziła jej pierwsza płyta „Dotyk”, on spotykał się z szefostwem światowych wytwórni fonograficznych i obmyślał podpisanie międzynarodowego kontraktu. Pomagał mu Piotr Kabaj, szef Pomatonu EMI, który aranżował spotkania ze światowym kierownictwem tej firmy. W tym samym czasie Kubiak negocjował równolegle z wytwórnią Polygram. Uparł się, żeby wywalczyć warunki, jakich normalnie nie ma nie tylko żadna debiutantka, ale niejedna uznana gwiazda.

W dziesiątkach spotkań, które odbywał, uczestniczył adwokat Andrew Thompson, jeden z najdroższych i najbardziej znanych prawników w brytyjskiej branży muzycznej, twórca kontraktu Spice Girls. Na każdym spotkaniu prezentował dwa nagrane na wideo teledyski Edyty Górniak: „Dotyk” i „Jestem kobietą”.

Przedstawiciele wytwórni byli zwykle pod silnym wrażeniem. - To może być „next Celinę Dion” - powtarzali. W grudniu 1995 Edyta postanowiła wyjechać do Anglii na stałe. W tym czasie Wiktor Kubiak dał ogłoszenie do magazynu branży muzycznej „Song Link”, że poszukuje tekstów i muzyki dla artystki śpiewającej w stylu pop. W odpowiedzi codziennie przychodziło po kilkadziesiąt propozycji piosenek na pierwszą anglojęzyczną płytę Górniak. Edyta ciągle coś nagrywała, w sumie zarejestrowała cztery razy więcej piosenek, niż mogło się zmieścić na płycie. W końcu Kubiak mógł sfinalizować kontrakt z szefem brytyjskiej wytwórni EMI Kenem Barrym.

Menedżer wynegocjował sobie prawo do pełnej kontroli nad artystyczną drogą piosenkarki. Tb on miał decydować o repertuarze, okładce albumów, promocji itp. Do wytwórni miał trafiać gotowy, zmiksowany już materiał. W związku z tym, Kubiak musiał sam ponosić większość wydatków związanych z produkcją płyty. A to koszty niebagatelne: dla przykładu, na pierwszy album wydał kilkaset tysięcy dolarów. Wyliczono, że aby Wiktor Kubiak i EMI wyszli na zero, musiałoby się sprzedać milion egzemplarzy jej płyty.

Podpisanie umowy odbyło się w kancelarii Andrew Thompsona, co filmowała telewizja MTV. Edytę wspomagała znana tłumaczka Krystyna Carter, ta sama, która tłumaczyła Lecha Wałęsę podczas jego wizyt w Wielkiej Brytanii. Carter oraz specjalnie wynajęty prawnik punkt po punkcie wyjaśniali Edycie szczegóły umowy. Artystka nie miała zastrzeżeń. Chciała tylko, by Kubiak dodatkowo opłacił jej ubezpieczenie zdrowotne za kilkaset funtów. Na jej życzenie, wpisano to do kontraktu, ale Górniak... nigdy z tego zapisu nie skorzystała. Nie znalazła czasu, by spotkać się z agentem, nie wykonała też wymaganych przez agenta ubezpieczeniowych badań lekarskich.

Po podpisaniu kontraktów, Wiktor Kubiak zaczął szukać producenta płyty. W grę wchodził Rick Wake, nowojorski producent Mariah Carey, oraz Chris Neil, producent Celinę Dion. Wybór padł na tego drugiego.

- On lepiej zrozumie Edytę. Będzie miał większy szacunek dla jej głosu. W końcu to on wypuścił na rynek Celinę Dion - uzasadniał Kubiak.

Edyta szybko się z Chrisem zaprzyjaźniła, choć wiele osób w branży miało o nim nie najlepszą opinię. A wszystko dlatego, że Neil w latach osiemdziesiątych grywał w filmach pornograficznych. Z tego powodu często był ofiarą towarzyskich żartów. Wszyscy o tym wiedzieli, a on sam tego wcale nie ukrywał. Zaczęli romansować. Kubiak, w przeciwieństwie do żony Neila, doskonale wiedział o ich związku.

Ponieważ zdarzało mu się bywać w domu Neilów, kilkakrotnie był świadkiem, jak Chris i Edyta wymykali się od stołu, aby „podyskutować” w łazience.

Wkrótce jednak się okazało, że coraz większy wpływ producenta na artystkę staje się powodem opóźnień w pracy nad płytą. Kubiak chciał, by na swym pierwszym anglojęzycznym krążku Edyta od razu pokazała pełnię swoich wokalnych możliwości.

- Ona śpiewa świetnie wysokie dźwięki. Doły ma słabe, a „średnicy” nie ma w ogóle. Za to świetnie manipuluje głosem: słuchaczom się wydaje, że ma cztery oktawy, podczas gdy w rzeczywistości ma tylko dwie - tłumaczył.

Tymczasem Neil twierdził, że wszystkie atuty piosenkarki lepiej ujawnić dopiero na następnym krążku. Chciał, by pierwsza płyta była delikatna, zaśpiewana ładnie, poprawnie, ale bez brawury.

- Dzięki temu, po wydaniu następnego albumu publiczność będzie mogła zauważyć, jak Górniak się rozwinęła - przekonywał.

- Jeśli Edyta od razu nie pokaże, co potrafi, drugiej szansy w ogóle nie będzie - kłócił się Kubiak.

Obaj panowie mocno się poróżnili. Choć zgodnie z prawem to Kubiak mógł o wszystkim decydować, w obliczu wielkiej miłości Edyty i Chrisa był bezradny. W końcu odpuścił, ale do dziś twierdzi, że gdyby piosenkarka go wtedy posłuchała, płyta byłaby dużo lepsza.

Samo nagrywanie płyty przebiegało wyjątkowo długo, bo Edyta, zgodnie ze swoim zwyczajem, nad jedną piosenką potrafiła pracować tydzień, a nawet miesiąc. Po trzech minutach nagrań kładła się na podłodze i odpoczywała. Mówiła, że nie może śpiewać ani wysoko, ani nisko.

- Góry mi już odeszły, a doły jeszcze nie przyszły - tłumaczyła.

Romans z producentem nie przetrwał wprawdzie długo, ale Edyta do dziś powtarza, że to dzięki Neilowi zetknęła się ze słynną Celinę Dion. Obie artystki Chris przedstawił sobie podczas jednego z londyńskich koncertów kanadyjskiej gwiazdy. Rozmawiały ze sobą zaledwie kilka minut, ale Górniak była pod silnym wrażeniem Celin.

Jednym z przebojów Edyty z pierwszej anglojęzycznej płyty jest utwór „One&One”, który w swym repertuarze ma także Robert Milles. Napisał go dla niego Bill Steinberg, ten sam, który stworzył „Like a virgin” Madonny. Edyta wielokrotnie przekonywała dziennikarzy, że Milles ukraść jej „One&One”. Prawda jest taka, że Kubiak i Neil rzeczywiście długo zabiegali u Steinberga o ten utwór. Ten jednak musiał odmówić.

- Obiecałem go już Millesowi, który należy do innej wytwórni. Jeśli oddam ją komuś innemu, nikt nie będzie chciał ze mną współpracować - tłumaczył.

Gdy wokalista wydał piosenkę na swej płycie, zgodnie z prawem Górniak mogła ją zaśpiewać bez zgody autora, ale nie jako swój oryginalny utwór, lecz cover innego artysty. Tak się stało. Edyta nigdy jednak publicznie nie przyznała, że śpiewała cudzą piosenkę.

Premiera pierwszej anglojęzycznej płyty Górniak odbyła się w Japonii. Artystka pojechała tam razem z Wiktorem Kubiakiem. Nietypowy wybór miejsca premiery zaowocował po latach słynną propozycją zaśpiewania hymnu na mistrzostwach świata w piłce nożnej w Korei.

Przez osiem lat współpracy z całą pewnością Wiktor na Edycie nie oszczędzał. Fundował jej i jej przyjaciółom wakacje, kupował ubrania, opłacał rozrywki. Zatrudnił kilku profesjonalnych nauczycieli angielskiego. Po nagraniu płyty, wynajął jej dwupoziomowe mieszkanie w Covent Garden. Na dole był salonik i kuchnia, na górze dwie sypialnie i łazienka. Kosztowało go to ok. 350 funtów miesięcznie.

Finał ich przyjaźni był jednak dramatyczny. W marcu 1998 trwały ostatnie prace nad wydaniem płyty przeznaczonej na rynek brytyjski i amerykański. W Los Angeles Kubiak uzgadniał szczegóły promocji albumu. W tym samym czasie Chris Neil szukał przeboju, który mógłby być ukoronowaniem nagranych już materiałów i pociągnąć całość promocyjnie. Odpowiedzialna za repertuar artystów w EMI żona producenta „Rolling Stonesów” uznała, że do sukcesu krążka Edyty brakuje dwóch łutowych utworów. O pomoc zwróciła się do George'a Michaela. Artysta zgodził się współpracować z gwiazdą.

Radość Kubiaka nie miała granic. Szczęśliwy, natychmiast wsiadł w samolot i odleciał do Londynu, by

podzielić się z Edytą dobrą nowiną. Artystki nie zastał jednak w domu. W skrzynce pocztowej zostawiła mu klucze oraz krótki list. Pisała, że odchodzi, bo da już sobie radę sama.

Zdaniem Alicji Borkowskiej, wtedy żony Kubiaka, Wiktor bardzo to przeżył.

- Był pewien, że Górniak zdeklasuje i wykończy Celinę Dion, Mariah Carey i Whitney Houston. Tymczasem ona o mało nie wykończyła jego - wspomina.

Kubiak przyznaje, że długo nie mógł się pogodzić z decyzją piosenkarki.

- W momencie, gdy uwierzyli w nią najpoważniejsi ludzie z branży, ona wszystko niszczy - powtarzał.

Po odejściu od Wiktora Kubiaka, Edyta Górniak wprowadziła się do domu wiceprezesa EMI do spraw promocji. Wkrótce jednak zamieszkała w domu wytwórni EMI przy Abbey Road, gdzie kiedyś nagrywali i mieszkali Beatlesi. Rachunki za czynsz firma wysyłała Kubiakowi, ten jednak wyrzucał je do kosza. W końcu Edytę z mieszkania wyrzucono, a gigantyczne długi za telefon musiał uregulować Kubiak.

Mimo zerwania kontaktów z menedżerem, przez cały czas zachowuje on znaczny wpływ na karierę Edyty. Kubiak twierdzi, że bez jego zgody nie może ona wydać żadnego nowego albumu, ani w Polsce, ani za granicą. Zawarte w 1997 roku kontrakty dotyczą nagrania sześciu płyt. Tymczasem artystka wydała dotąd tylko dwie zagraniczne i jedną polską. Oznacza to, że umowa ciągle obowiązuje i zapewne będzie obowiązywała jeszcze przez długie lata. Edyta nie ma prawa jej wypowiedzieć. To, że kilka lat temu ogłosiła zakończenie współpracy z Kubiakiem, z prawnego punktu widzenia nie ma więc żadnego znaczenia.

Tuż przed wydaniem „Perty” wytwórnia Virgin chciała od Kubiaka „odkupić” Górniak. Ten jednak nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Nie mogłem jej powierzyć w ręce kretynów. Gdyby propozycja była korzystna dla Edyty, oddałbym ją za darmo - miał tłumaczyć jednemu ze swoich przyjaciół.

Bo oszaleli dla niej

Mężczyźni wciąż jej towarzyszą. Ale Edyta Górniak nie umie zbudować trwałego związku. Piotra Gembarowskiego oskarża o to, że ją podsłuchiwał. Piotr Krasko nie wie, że dzieli się nią z Anglikiem Chrisem Neilem. Ze Stanisława Tyczyńskiego robi pośmiewisko, a Adam Sztaba ma jej po prostu dość. Edyta Górniak to „kobieta fatalna” czy „fatalna kobieta”?

Niedziela, siódma rano, warszawskie mieszkanie Edyty Górniak. Piotra Gembarowskiego obudziło głośne pukanie do drzwi. Przy wejściu stała grupa nastolatków.

- Przyszliśmy po autograf Edzi - wyjaśnili.

- Oszaleliście? Wiecie, która jest godzina? Przecież Edyta śpi! - powiedział lekko podniesionym głosem Piotr.

Całą sytuację usłyszała jednak piosenkarka.

- Jak mogłeś potraktować w ten sposób moich fanów?! - wrzasnęła, robiąc mu karczemną awanturę. Gembarowski ubrał się i wyszedł z domu. Nie widzieli się dwa tygodnie.

Ich związek zaczął się we wrześniu 1994 roku, gdy Gembarowski pracował w Radiu Eska. Siedziba tej warszawskiej rozgłośni znajdowała się wówczas przy pi. Zawiszy. Nieopodal, w Alejach Jerozolimskich mieszkała Górniak. Któregoś dnia dziennikarz wyszedł z pracy, by coś zjeść na mieście. Po drodze przypadkowo spotkał artystkę. Zagadnął ją, zapraszając do radia na wywiad. To było kilka miesięcy po Eurowizji. Nie tylko od razu się zgodziła, ale poprosiła, by odprowadził ją do hotelu Sobieski, gdzie miała umówione spotkanie. W recepcji dała mu swój telefon.

- Proszę do mnie zadzwonić, to umówimy się na wywiad - zaproponowała.

Był zaskoczony jej otwartością. Dwa tygodnie później zatelefonował do jej brytyjskiego mieszkania. Po kilku zdaniach rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót.

- Może byśmy przeszli na ty? Mogłabym mówić do ciebie „Piotrusiu”? - zaproponowała artystka.

Oczywiście się zgodził.

- Ja, zwykły dziennikarzyna, będę na ty z księżniczką z bajki! - myślał z satysfakcją.

Umówili się w Warszawie, zaraz po powrocie Górniak z Londynu. Spotkali się w kawiarni w hotelu Sobieski. Od tej pory zaczęli się spotykać częściej, niemal codziennie. Wkrótce znajomość rozwinęła się do tego stopnia, że Gembarowski zaczął pomieszkować u piosenkarki. Towarzyszył jej także w 1995 r. podczas gali wręczenia polskich nagród muzycznych „Fryderyki”. Wspomina, że szybko stał się kimś w rodzaju lokaja. Jeździł po wskazanych przez nią knajpach, kupował jedzenie i dostarczał je do domu lub do studia, gdzie nagrywała pierwszą płytę. Odbierał ubranie z pralni, kupował kwiaty. Był na każde zawołanie, pomagał znaleźć mieszkanie, nad którego kupnem zastanawiała się Górniak.

Ich związek się rozpadł w maju 1995, tuż przed premierą debiutanckiego albumu „Dotyk”. Piotr Gembarowski od jakiegoś czasu podejrzewał, że między nimi dzieje się coś złego. Przyłapywał Edytę w różnych dziwnych sytuacjach, ale ona zawsze znajdowała wytłumaczenie. Rozstawali się kilka razy.

- Definitywny koniec nastąpił, gdy przyłapałem ją na bardzo poważnym kłamstwie, by nie rzec w sytuacji in flagranti. Nie chcę mówić o konkretach - ucina Gembarowski.

Pół roku później wpadli na siebie w siedzibie firmy Pomaton EMI, z którą przez kilka miesięcy współpracował Piotr. Edyta była bardzo miła. Dziennikarz przyznaje, że wtedy znowu coś do niej poczuł. Zupełnie, jakby się dał na chwilę zaczarować.

- Na szczęście szybko się otrząsnąłem - ocenia po latach.

Dziś sądzi, że był wtedy artystce po prostu potrzebny. Poszli na spacer, na którym padła zaskakująca propozycja,

- Zamierzam wydać pamiętnik. Może byś mi pomógł go zredagować? - zaproponowała gwiazda.

Spotkali się w tej sprawie trzy razy na Ursynowie, w mieszkaniu, w którym Edyta mieszkała wtedy z Piotrem Kraską. Po kilku podejściach do redagowania, dziennikarz zwątpił. Tego typu literatura go nie pociągała, w dodatku tekst, delikatnie mówiąc, nie był najlepszy. Powiedział Edycie, że rezygnuje. Odtąd ich drogi zupełnie się rozeszły. Osiem lat później piosenkarka dość niespodziewanie zaatakowała go w prasie. Oskarżyła, że ją podsłuchiwał. Telefon artystki zaopatrzony był w specjalne urządzenie, przy pomocy którego można było z zewnątrz sprawdzać, czy w mieszkaniu nie ma złodzieja. Gembarowski miał ten kod zdobyć i dzięki niemu słyszeć wszystkie rozmowy toczące się w domu Górniak.

- Przez trzy miesiące ujmował mnie tym, że dzwonił do mnie do domu, żeby zapytać, dlaczego płaczę, w chwili, gdy rzeczywiście płakałam - opowiadała artystka w czasopiśmie „Gala”.

Twierdziła też, że dzięki podstępowi, Gembarowski potrafił przyjechać do niej w środku nocy i powiedzieć:

„Przepraszam, że tak nagle przyjechałem, ale czułem, że miałaś dzisiaj ciężki dzień”. Oczywiście, zawsze „trafiał”. Artystka twierdzi, że gdy zdemaskowała postępek Piotra, zerwała z nim.

- To oszczerstwa - zdecydowanie zaprzecza Gembarowski. - Rozstaliśmy się z mojej inicjatywy po tym, jak poznałem jej prawdziwe oblicze. Skoro byłem taki straszny, dlaczego po kilku miesiącach znowu chciała się ze mną spotykać i prosiła o redagowanie pamiętnika?! Cała ta historia to jakiś jej kolejny wybieg marketingowy. Podejrzewam, że bała się, że kiedyś mógłbym zaszkodzić jej, opowiadając prawdę o okolicznościach naszego rozstania - ocenia.

Jego zdaniem, wymyślając historię o rzekomym podsłuchu, gwiazda chciała go prewencyjnie skompromitować.

Wkrótce o związku Edyty z Piotrem ucichło. Bo artystkę oczarowała inna gwiazda Telewizji Polskiej - Piotr Krasko. Ich związek trwał do 1998 r. Dziennikarz ujął piosenkarkę szarmanckim zachowaniem, inteligencją, znajomością kilku języków obcych. Byli bodaj najczęściej fotografowaną parą i wcale im to nie przeszkadzało. Krasko był z nią niemal zawsze. Woził swym volkswagenem corrido na spotkania, przesiadywał pod jej garderobą w czasie koncertów. Razem zamieszkali na warszawskim Ursynowie przy ul. Belgradzkiej. Jakiś fotoreporter zrobił jej tam nawet zdjęcie, jak owinięta w ręcznik opalała się na balkonie. Wydawało się, że są idealną parą. Piosenkarka zaczęła się zajmować domem, gotowała, sprzątała, prasowała. Potem w wywiadach Krasko mówił, że robiła to kiepsko. W końcu zabrała swego

wybranka do rodzinnego Opolą i przedstawiła mamie.

Ponieważ był to czas, w którym Edyta nagrywała w Londynie swoją nową płytę, Krasko dość często ją tam odwiedzał. Pewnie nie wiedział, że już wtedy miała ona romans z Chrisem Neilem. W końcu związek z dziennikarzem się rozsywał. Piotr Krasko jeszcze długo próbował go ratować. Kilka lat później, w 2001 roku, wydawało się, że między nimi znowu coś drgnęło. Znowu zaczęli się spotykać. Nic z tego jednak nie wyszło.

W czasie, kiedy Edyta była z Kraską, zakochał się w niej Artur Iwan, mistrz Europy w strzelectwie. W tym przypadku trudno jednak mówić o związku.

- Artur był w niej zadurzony, ale ona nigdy nie traktowała go w kategoriach materiału na chłopaka -mówi kolega Górniak.

Edytę poznał dzięki Michałowi Bajorowi, którego kiedyś był kierowcą. Gdy piosenkarka szukała lojalnego szofera, Bajor zaproponował właśnie Iwana. Przy okazji Artur zaraził artystkę swoim hobby, często udzielając lekcji strzelania. Nauka nie poszła w las: podczas konkursu strzeleckiego zorganizowanego przez jedną z gazet, Edyta zajęła pierwsze miejsce. Z biegiem czasu Artur awansował z kierowcy i bodyguarda na agenta piosenkarki. Umawiał wywiady, organizował koncerty, ale też, gdy było trzeba, odbierał ubranie z pralni.

Tb właśnie Iwan zawiózł Edytę Górniak do Opolą na grób babci. Tb do niego piosenkarka zadzwoniła w 1998 r., kiedy próbowała popełnić samobójstwo. Mimo to, pewnego dnia zrezygnowała z jego usług i zatrudniła poleconą przez Waltera Chełstowskiego Dorotę Oraczewską.

Po rozstaniu z Kraską, Górniak przez kilka miesięcy była związana z szefem Radia Zet Robertem Kozyrą. Później przyszedł czas na Adama Sztaby, kompozytora i klawiszowca. On ją pamiętał jeszcze z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy do jego rodzinnego Koszalina przyjechało „Metro”. Gdy zachwycił się jej wykonaniem musicalowej „Litani”, nie mógł marzyć, że w przyszłości będzie z nią pracować, a tym bardziej tworzyć związek.

Edyta poznała go w grudniu 1997 r. przed swym koncertem z Jose Carrerasem w Teatrze Wielkim. Spotkali się dzięki Magdzie Steczkowskiej, która śpiewała u niej w chórze. Wkrótce zaczęła się zawodowa współpraca Edyty i Sztaby, która w sumie trwała 5 lat. On został kierownikiem muzycznym jej zespołu. Prywatnie zaczęli się spotykać pod koniec 1998 r. Razem stworzyli jeden z najbardziej tajemniczych związków piosenkarki. W prasie było o nich cicho - ich wspólne zdjęcie pojawiło się chyba tylko raz. Edycie znów się wydawało, że tym razem stworzy wymarzony związek na całe życie.

- On młody, bardzo zdolny kompozytor. Ona piosenkarka uchodząca za najlepszy polski głos. Po prostu idealna para! - komentowali znajomi.

Związek Edyty i Adama przypadł na okres, w którym piosenkarka była w cieniu. Nie wydawała żadnej płyty, nie miała pracy. Dzięki temu mogli spędzać wspólnie bardzo dużo czasu. Adam był nią oczarowany. W tym czasie towarzysko kompletnie zniknął. Albo pracował, albo spędzał czas z piosenkarką. Nie miał czasu dla starych kumpli.

- Edyta potrafi sprawić, że każdy, kto jest z nią blisko ma wrażenie, że jest dla niej kimś absolutnie najważniejszym - tłumaczy przyjaciel Sztaby.

W 1999 roku przejechali Polskę z trasą koncertową Live '99”. Jednak dość szybko zaczęły się pojawiać między nimi konflikty. Adam lubi pracować w samotności, więc często znikał z domu. Edyta miała o to do niego pretensje. Innym razem doszło do poważnej sprzeczki, bo Edyta, nie wiadomo dlaczego, spakowała wszystkie ubrania Sztaby i... oddała biednym ludziom. W końcu i ten związek się rozpadł. - Adam jest za mało dojrzały i nieodpowiedzialny -tłumaczyła artystka swoim znajomym.

Po rozstaniu jeszcze przez kilka miesięcy razem pracowali. Sztaba odszedł, wskazując jako swego następcę w zespole Grzegorza Jabłońskiego, pianistę zespołu „Polucjanci”.

Zanim jeszcze Edyta rozstała się z Adamem, jej serce próbował zdobyć Stanisław Tyczyński. Prezes RMF FM, bogaty i dojrzały mężczyzna. Zaczęło się latem 2000 r., gdy krakowska rozgłośnia postanowiła zrealizować słuchowisko „Romeo i Julia”.

Tb był autorski projekt Tyczyńskiego. Złośliwi mówili, że całe przedsięwzięcie miało jeden cel: zbliżenie się do Edyty. Jedno jest pewne: rolę Julii prezes RMF od początku zarezerwował dla Górniak. Rola męska przypadła Maciejowi Stuhrowi, czego z kolei podobno domagała się Edyta. Za wykonanie piosenki artystka dostała ponad 20 tys. złotych.

Tyczyński był nią zachwycony. Ona go zresztą kokietowała i zaczęła z nim flirtować.

Przysyłałi do siebie ogromną liczbę maili. On pisał jej jakieś bardzo poetyckie teksty. Edyta nie zawsze je do końca rozumiała, ale bardzo ją to kręciło. Znajomym tłumaczyła jednak, że nie traktuje tej znajomości na poważnie.

- Tak naprawdę, robię sobie z niego jaja - wyjaśniała.

Gdy przyszło do promocji „Romea i Julii”, o wszystkim decydowała Edyta. Tyczyński konsultował z nią nawet wybór zdjęć na plakat reklamujący słuchowisko. Na wszystko się godził.

- Masz rację. Uwielbiam to spojrzenie - mówił, gdy artystka wybrała swoją fotografię.

Wkrótce inscenizacja ruszyła w trasę po kraju. Wszędzie wzbudzała ogromne zainteresowanie. Tyczyński zapewnił piosenkarcę ochroniarzy, którzy mieli obowiązek nie odstępować jej ani na krok. Musieli wziąć to sobie bardzo do serca. Podczas jednej z podróży gwiazda zażądała, aby kierowca zatrzymał autokar w szczerym polu. Wysiadła i zaczęła biegać po łące, a za nią... kilku ochroniarzy. Cały autokar pokładał się ze śmiechu.

Z powodu Edyty, na trasie coraz częściej pojawiał się sam Tyczyński.

- On naprawdę myślał, że coś z tego będzie - opowiada jeden z kolegów prezesa, na co dzień pracujący w telewizji. - Tymczasem ona najwyraźniej z niego kpiła. Któregoś dnia, będąc w Krakowie, zaproponowała mu spotkanie. Warunek był jeden: miał przyjechać na Rynek Główny na... żółto-niebieskiej hulajnodze (kolory stacji RMF).

Cały Kopiec Kościuszki, na którym ma siedzibę rozgłośnia, został postawiony na równe nogi. Dziennikarze, reporterzy i personel techniczny - wszyscy w całym mieście szukali żółto-niebieskiej hulajnogi. Okazało się, że w żadnym sklepie takiej nie ma. W końcu ktoś się dowiedział, że można ją dostać w Katowicach. Oczywiście, błyskawicznie ją stamtąd sprowadzono.

- Szef pojechał na tej hulajnodze na rynek, ale gwiazdy nie znalazł. Później okazało się, że siedząc w jednej z restauracji, patrzyła na niego przez okno i śmiała się do rozpuku, że prezes największej ogólnopolskiej stacji radiowej jeździ na kolorowej hulajnodze - opowiada jeden z ówczesnych pracowników stacji.

Tyczyński próbował dalej. Pewnego dnia przysłał jej mailem zdjęcie, na którym był dom, a przed nim pies. „Ten dom miał być dla nas. Skoro jednak się do niego nie wprowadzasz, kto będzie się zajmował psem?” -pytał w liście.

Edyta zrozumiała, że żartuje sobie z cudzych uczuć. Przestała flirtować. Tym razem jej związek się rozpadł, zanim się jeszcze zaczął.

Ojciec wypadł jak trup z szafy

Nie miała pojęcia, że jedno wypowiedziane w radiu zdanie wywoła lawinę. Edyta przyznała, że od lat nie ma kontaktu z ojcem, ale bardzo by chciała, żeby do niej zadzwonił. Jan Górniak tego nie słyszał, ale słyszeli dziennikarze. Postanowili spełnić marzenie piosenkarki. Z ojcem artystka nie pojednała się do dziś. Poszła za to na wojnę z mediami.

Edyta Górniak prawie nigdy nie opowiadała o ojcu. Apelując w radiu, by się z nią skontaktował, pewnie nie przypuszczała, jak łakomy kąsek daje dziennikarzom.

Pierwsi na trop Jana Górniaka trafili dwaj reporterzy „Super Expressu”. Okazało się, że ojciec sławnej piosenkarki mieszka w Przemyślu, w bardzo kiepskich warunkach, tuż za dworcem PKS. Jest Romem, ma dwójkę dzieci z drugiego małżeństwa. Choć osobiście nie słyszał poświęconego sobie wywiadu w radiu, dał się namówić dziennikarzom na przyjazd do Warszawy. O Edycie było wtedy w kraju bardzo głośno.

Głównie za sprawą wspólnego występu z Jose Carrerasem, który miał się odbyć w grudniu 1997 w Teatrze Narodowym. Dochód z koncertu miał być przeznaczony na walkę z białaczką.

Na koszt redakcji zakwaterowano pana Jana w hotelu „Forum”. Edyta, oczywiście, o niczym nie wiedziała.

- Chłopcy zaplanowali, że przyprowadzą go do Narodowego na konferencję prasową Edyty, która miała się odbyć kilka godzin przed występem. Po standardowych pytaniach o karierę i współpracę z Carrerasem, mieli zapytać: „czy jest pani gotowa pogodzić się z ojcem”. W tym momencie, jak trup z szafy, miał się pojawić Jan Górniak! - wspomina Bożena Chodyniecka, była dziennikarka „Super Expressu”.

Perfekcyjny scenariusz popsuka jednak prowadząca konferencję Krystyna Gucewicz, która w jakiś sposób dowiedziała się o planach dziennikarzy. Bojąc się, że Edyta się zdenerwuje i odwoła koncert, nagle przerwała zadawanie pytań, a Górniak opuściła salę w towarzystwie rosnących ochroniarzy. Reporterzy nie dawali jednak za wygraną. Kupili ojcu piosenkarki bilet i przyprowadzili go do teatru.

Gdy Edyta o wszystkim się dowiedziała, wpadła w panikę.

- Jeśli ojciec pojawi się na sali, nie wystąpię! - zapowiedziała.

Organizatorzy byli przerażeni. Ochroniarze dostali wydrukowane w „Super Expressie” zdjęcia Jana Górniaka. Pod żadnym pozorem nie mogli go wpuścić. Potem ojciec żalił się w prasie, że nie pozwolono mu wejść na koncert córki.

Cały incydent spowodował śmiertelną obrazę Edyty na „Super Express”. Dopiero po kilku latach zgodziła się udzielić tej gazecie wywiadu.

- Czy moglibyśmy ponownie zająć się pani ojcem? Tym razem za pani wiedzą - zaproponowała Chodyniecka.

Po chwili wahania, artystka się zgodziła.

- Mimo wszystko, ona się o niego martwiła - ocenia dziś dziennikarka.

Gdy ekipa „Super Expressu” pojechała do niego do Przemyśla, Jan Górniak bardzo się ucieszył. Poruszył go fakt, że tym razem córka zaakceptowała całą akcję. Wyciągnął z szafy stertę wycinków prasowych o Edycie, wspominał, jak kiedyś razem śpiewali. Prawie płakał. Usprawiedliwiał się, dlaczego odszedł od rodziny.

- Tb normalne, że ludzie się rozwodzą - tłumaczył. Nie rozumiał, dlaczego artystka ma do niego o to tak wielki żal.

Po spotkaniu z Janem, Chodyniecka umówiła się z Edytą. Przygotowywana publikacja miała być dwugłosem: obok siebie wersja ojca i wersja córki. Spotkały się w południe w hotelu Sheraton, gdzie piosenkarka wynajmowała apartament. Opowiedziana przez nią historia rozstania rodziców była wstrząsająca. Artystka bardzo długo autoryzowała wywiad. Ciągłe w nim coś zmieniała. Do pojednania ojca i córki nigdy jednak nie doszło.

- Edyta nie jest zatwardziała, ale była w bardzo trudnej sytuacji. Z jednej strony chciała pomóc ojcu, z drugiej bała się urazić swoją matkę - opowiada Chodyniecka.

W pewnym momencie dziennikarka stała się pośrednikiem między Edytą a ojcem. Kiedy artystka dowiedziała się, że Jan Górniak jest w szpitalu, bardzo się niepokoiła. Dzwoniła do Chodynieckiej, pytała, w którym szpitalu leży jej tata, czy to prawda, że ma kłopoty z wątrobą i czego potrzebuje. Raz czy dwa chciała mu przekazać jakieś pieniądze.

Po jakimś czasie obie panie bardzo się żyły.

- Miałam do niej słabość. Wiedziałam, że z tą jej nadwrażliwością nie jest łatwo żyć - opowiada Bożena Chodyniecka.

Jednak, podobnie jak w przypadku innych przyjaciół Edyty, w pewnym momencie zażyłość się skończyła.

- Myślę, że ona w relacjach z ludźmi po prostu boi się bliskości. Najpierw się mocno otwiera, a potem nagle zamyka w swojej skorupce - ocenia dziennikarka.

Pora na Paula

Wydawało się, że znalazła kogoś na stałe. Wspólne plany, wspólny dom, nadzieja na wspólne dzieci. Tyle że Paul Wilson, producent muzyczny, miał już dwójkę. I gdy odszedł od żony, bardzo za nimi tęsknił. A tego Edyta Górniak znieść nie mogła. Rzuciła go. Po swoje rzeczy do Londynu wysłała matkę.

We wrześniu 2001 r. Edyta Górniak znalazła się na jednym z największych zakrętów swego życia. Dopadła ją straszna depresja. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Do tego doszły poważne kłopoty finansowe. Tymczasem właśnie trwały prace nad „Perłą”, drugą anglojęzyczną płytą piosenkarki, oraz polską wersją tego albumu. Tak jak nigdy, Górniak potrzebowała dobrej formy psychicznej i fizycznej.

- Album powstawał w bardzo trudnych warunkach. Edytę bardzo męczyły przedłużające się prace w studiu. Pieniądze z pierwszej płyty dawno już wydała, a premiera drugiej cały czas się przesuwiała. Do tego doszły kłopoty osobiste, którymi piosenkarka była zdruzgotana.

A przecież „Perła” miała być w jej karierze przełomem. Planowano, że ukaże się na całym świecie i przyniesie w końcu upragnioną międzynarodową sławę. Produkował ją duet „Absolute”, czyli Paul Wilson i Andy Watkins. Brytyjcy przyjaciele, którzy wprawdzie nie stanowią w branży muzycznej pierwszej ligi, ale mogą się pochwalić współpracą z takimi artystami, jak Joe Cocker, Tina Turner czy Spice Girls. W tym samym czasie wydawali też płytę Geri Halliwell. „Absolute” wskazał piosence Chris Briggs, opiekujący się nią przedstawiciel światowego EMI. Wybór nie był przypadkowy: menedżerem producenckiego duetu była żona Briggsa. Dzięki temu małżeństwo mogło dodatkowo zarobić na płycie Edyty całkiem spore pieniądze. Zdecydowanie większe, niż sama wokalistka.

Paul i Andy postanowili jej stworzyć zupełnie nowy wizerunek. Problem był tylko jeden: polska artystka nie była dla nich najważniejsza. Przecież co chwila musieli się zmagać z problemami Geri Halliwell czy Joe Cockera. Siłą rzeczy, Górniak spadała na drugi plan.

Nieco podobnie było w przypadku ówczesnego międzynarodowego menedżera Górniak 52-letniego Jima Beacha. Prawdziwa sława show-biznesu, menedżer m.in. zespołu Queen, traktował polską artystkę jako jedną z wielu. Zdarzało się, że Górniak nie mogła się z nim nawet skontaktować. Nie miała jego telefonu komórkowego, a gdy zostawiała mu wiadomości w sekretariacie, oddzwaniał dopiero po kilku dniach albo wcale. Był wtedy zresztą bardzo zajęty, gdyż produkował musical. Beacha znalazł Edycie Górniak Wiktor Kubiak po tym, jak od niego odeszła. Chciał, by zajmował się nią profesjonalista, ale potem żałował wyboru.

- W ogóle się nie angażuje. Nie załatwia jej żadnych spraw, zwłaszcza artystycznych. Zresztą, wystarczy posłuchać, jak słaba jest „Perła” - żalił się jednemu ze swych przyjaciół.

Zaniepokojony przedłużającymi się pracami nad krążkiem, Kubiak próbował mobilizować Beacha. Pomogło, bo ten skontaktował się w końcu z „Absolute” i zrobił im karczemną awanturę.

- Jeśli przez cztery miesiące będziecie pracować nad jednym utworem, ta płyta nie powstanie nigdy - ostrzegął.

Paul i Andy wzięli się do pracy. Edyta wpadła wtedy na pomysł, by na potrzeby krajowego rynku do anglojęzycznej płyty dołączyć drugi krążek, po polsku. Nad rodzimą wersją płyty pracował Adam Sztaba. Z powodów finansowych, trzeba było zrezygnować z pracy w należącem do Polskiego Radia profesjonalnym studiu S-4. Dzięki bliskiej znajomości Edyty z prezesem RMF Stanisławem Tyczyńskim ekipa dostała do dyspozycji jego studio w Krakowie. Z efektów pracy gwiazda nie była jednak zadowolona.

- To wszystko sprawiło, że popadła w poważną depresję - opowiada znajomy piosenkarki.

Zaczęła wydzwaniać do swoich przyjaciół i się z nimi żegnać. Telefonicznie podziękowała za współpracę Paulowi i Andy'emu. Producenci przestraszyli się, że Edyta sobie coś zrobi. Postanowili natychmiast przyjechać do Polski i zabrać ją do Anglii.

Obiecali artystce, że całą pracę nad płytą będzie mogła skończyć w Londynie. Miała zresztą dośpiewać już tylko ostatnie sekwencje.

Ponieważ z powodu pracy nad płytą Tiny Turner, Paul i Andy nie mogli się zajmować Edytą osobiście,

oddali do jej dyspozycji swego asystenta. Miał nad nią czuwać 24 godziny na dobę. Ponieważ budżet płyty się kończył, Górniak nad każdym utworem mogła pracować tylko jeden dzień.

- To śmieszne, bo nawet w Polsce jeden utwór miksujemy dwa dni - komentowali muzycy pracujący nad „Perłą”.

Nic dziwnego, że gdy po zakończeniu pracy przesłuchali materiał, byli zawiedzeni.

- Brakuje połowy instrumentów. Miesięczna robota została zmarnowana - narzekali.

Edyta nie miała jednak wyboru. Gdyby nie zaakceptowała efektów pracy, byłaby skazana na potworne kłopoty finansowe. Kończyła nagrywać w okropnym stanie psychicznym. Bez pieniędzy i bez formy wokalne.

Jak się okazało, pośpiech był kompletnie nieuzasadniony. „Perła” nie wyszła bowiem na jesieni, gdyż wydanie krążka zablokował Wiktor Kubiak. Powtarzał, że materiał jest żenujący, a Edyta powinna za to „podziękować” Paulowi i Andy'emu.

- Potrzebujemy jeszcze ze dwóch porządnych hitów, które pociągną cały album - orzekł.

Brakujące utwory miały się znaleźć na singlu promującym krążek. W ich poszukiwaniu Edyta poleciała do Stanów. Dzięki Chrisowi Briggsowi, poznała tam dwójkę producentów, którzy wcześniej współpracowali m.in. z Christiną Aguillery. Jednak podczas nagrań w USA znów zaczęła demonstrować swe humory. Raz po raz popadała w histerię.

- W studiu nie ma tu odpowiedniej temperatury! - krzyczała. Albo: - Nie mogę pracować, bo nie mam herbaty z miodem!

Jednego z producentów zaczęła kokietować, nie wiedząc, że jest gejem. W Stanach została tydzień, codziennie próbując coś nagrać. Drugiej piosenki nie nagrała w ogóle, pracy nad pierwszą nie skończyła. Kiedy miała wyśpiewać ostatni dźwięk, osunęła się o ścianę i zemdląca.

- To był genialny utwór. Murowany hit. Tyle że Edyta czuła się przez tych chłopaków urażona.

Postanowiła, że nie pozwoli, by na niej zarabiali. Z tego punktu widzenia zemdląca w idealnym momencie. Bez brakującego fragmentu nie dało się zmiksować utworu - opowiadał potem Chris Briggs.

Producenci mieli tej współpracy serdecznie dość. W końcu zrezygnowali z przysługujących im pieniędzy i oddali Edycie drugi utwór za darmo. Byle tylko nie mieć już z nią nic wspólnego! W końcu zresztą żadna z amerykańskich piosenek na „Perle” się nie znalazła.

Przedłużające się prace nad płytą spowodowały, że Górniak popadała w coraz to gorsze kłopoty finansowe. Zdarzało się, że brakowało jej na codzienne potrzeby. W Londynie nie miała gdzie mieszkać, więc pod swój dach przyjął ją Paul Wilson. Mężczyzna grubo po trzydziestce, żonaty z dwójką dzieci. Edyta często nocowała też u Andy'ego Watkinsa. Przez kilka miesięcy dobrze poznała żony obu panów, zaprzyjaźniła się też z dziećmi Paula. Starsze z nich prowadziła nawet do przedszkola.

Nikt nie przypuszczał, że wszystko się potoczy jak w brazylijskim tasiemcu i Edyta Górniak rozkocha w sobie obu producentów. Doprowadziło to między nimi do konfliktu. Piosenkarka wybrała Paula, co zresztą na jakiś czas spowodowało przerwanie jego współpracy z Andym.

- Między Edytą a Pauliem iskrzyło już chyba w grudniu 2001 r. Później dość długo romansowali, mieszkając w jednym domu z żoną i dziećmi Paula. Poważne plany zaczęli snuć wiosną 2002 roku. Górniak była cała w skowronkach. Minęła depresja i kłopoty finansowe. Pamiętam, że Paul przelał kiedyś na jej konto znaczną sumę pieniędzy. Tak po prostu, żeby miała - mówi były przyjaciel piosenkarki. Artystka była przekonana, że wreszcie, po wielu nieudanych związkach, ma kogoś na stałe. W dodatku starszego, opiekuńczego, z pozycją zawodową. Sprawiała wrażenie, że bardzo go kocha. Nigdy wcześniej o nikim nie opowiadała tak ciepło.

- Zresztą, kiedy mi go przedstawiła, okazał się bardzo miłym człowiekiem. Inteligentny, mądry, skromny. Był sporo od niej starszy. Miał lekki brzusek - mówi jedna z fanek Górniak.

Związek długo udało się utrzymać w tajemnicy przed żoną producenta. Oficjalnie rano oboje wychodzili do pracy, ale tak naprawdę nawet wolny czas spędzali razem. Między innymi w salonie odnowy biologicznej SPA, do którego uwielbiali chodzić. Wkrótce postanowili, że Paul kupi dom i zamieszka w nim

razem z artystką. Wybór padł na willę położoną 40 kilometrów od centrum Londynu.

- Będzie cudownie! Zwiozę tam wszystkie moje trofea, listy od fanów, nagrody i pamiątki - opowiadała znajomym rozmarzona Edyta.

Chwaliła się, że razem z Paulem biega po sklepach i urządza mieszkanie.

W tym czasie brytyjski partner piosenkarki kilkakrotnie przyjechał do Polski. Był podczas jej koncertu w Olsztynie, w Krakowie i dwukrotnie w stolicy. Tuż przed wyjazdem Edyty na mistrzostwa świata do Korei, uczestniczył w jej recitalu w teatrze Roma. Towarzyszył też w nagraniach sylwestrowego programu telewizji Polsat, które odbywały się w warszawskim klubie Skarpa. Jednak w kraju ze swą miłością się nie afiszowali. Zwłaszcza on jak ognia unikał fleszy, bez przerwy siedząc za kulisami. Szczęściu w życiu prywatnym nie towarzyszył, niestety, sukces zawodowy. Piosenkarka miała wiele zastrzeżeń do swej najnowszej płyty. Nie najlepiej układała się jej współpraca z niemiecką wytwórnią Virgin, dzięki której Górniak miała zaistnieć na rynku europejskim. Po sesji fotograficznej zrobionej na potrzeby promocyjne w Niemczech, Edyta była tak niezadowolona, że zabroniła wykorzystywania powstałych zdjęć.

- Wyglądam na nich jak Sabrina. Jestem źle umalowana, wyuzdana i wulgarna - oburzała się nie bez racji. Kiedy poszukiwała materiału na polską edycję „Perły”, ktoś wpadł na pomysł, by poprosić o pomoc Edytę Bartosiewicz. Obie piosenkarki spotkały się kilka razy w domu tej drugiej na warszawskim Mokotowie. Owocem współpracy były dwa utwory, które Edyta Bartosiewicz podarowała swojej imienniczce. Artystka napisała słowa i muzykę piosenki „Nie proszę o więcej” oraz tekst tytułowego utworu płyty „Perła”. Niewiele osób wie, że ten pierwszy utwór Bartosiewicz podarowała wcześniej Anicie Lipnickiej. Piosenkarka go nagrała, ale nie promował on jej albumu, nie był też grany przez stacje radiowe. Dlatego dwa lata później, bez konsultacji z Lipnicką, autorka oddała go Edycie Górniak pod zmienionym tytułem - „Nie proszę o więcej”.

W końcu „Perła” ukazała się w marcu 2002 r., pół roku później, niż planowano. Można ją było kupić w 29 krajach świata. W sumie na międzynarodowym rynku sprzedała się w niezbyt dużym nakładzie 12 tys. egzemplarzy. W Polsce, gdzie do krążka z angielskimi utworami dołączono drugi, polskojęzyczny, sukces był nieco większy - „Perłę” kupiło około 70 tysięcy osób. Jednak w porównaniu z poprzednimi płytami wynik był najgorszy. Jak na ironię, żaden anglojęzyczny album Górniak nie ukazał się ani w Stanach, ani w Wielkiej Brytanii. W rok po jego premierze, wytwórnia EMI poinformowała Kubiaka, że w przyszłości nie zamierza już wydawać żadnej płyty Edyty.

Tyle że artystka chwilowo niczym się nie przejmowała. W wywiadach tryskała humorem. Opowiadała, że wreszcie znalazła prawdziwą miłość, że wkrótce będzie miała dzieci, bo Paul chce zostać ojcem jeszcze przed czterdziestką. Nie dodawała, że po pierwsze jej partner ma już dzieci, a po drugie bardzo za nimi tęskni. Wkrótce sielanka zaczęła się kończyć. - Paul cały czas opowiada mi o swojej rodzinie. Nawet podczas romantycznych kolacji nie przestaje mówić o swoich dzieciach - narzekała znajomym Górniak. Czarę goryczy przelało Boże Narodzenie 2002 r., które Wilson postanowił spędzić z dziećmi. Edyta była zrozpaczona.

- Znów jestem sama, jak palec - powtarzała.

Pół roku później zdecydowała się opuścić Wilsona. Od kilku miesięcy spotykała się z Dariuszem Krupą, o czym zresztą Paul się dowiedział. Przez znajomego poprosił, by piosenkarka zabrała z jego mieszkania wszystkie swoje rzeczy. Edyta nie miała odwagi zrobić tego osobiście. Po swoje bagaże wysłała mamę. Paul wrócił do rodziny. Minęły też jego niesnaski ze współpracownikiem Andy'm Watkinsem.

Ameryki nie odkryła

Kiedy staje na scenie prestiżowego nowojorskiego teatru i widzi zachwyconych bossów amerykańskiego przemysłu muzycznego, wydaje się jej, że zdobycie tamtejszego rynku to formalność. Brutalną prawdę usłyszy dopiero za kulisami. „Jesteś piękna, zdolna. Nawet wybitna. Ale takich są tu... tysiące.”

Plany zrobienia kariery za oceanem Edyta miała już w 1992 r. Po broadwayowskiej klapie „Metra” nie wróciła, jak większość członków zespołu, do Polski, lecz postanowiła zostać w Stanach. Znajomym mówiła nawet, że na stałe. W Nowym Jorku poznała narzeczonego, którym początkowo była zafascynowana. Jeff, bardzo dobry trębacz, był członkiem orkiestry symfonicznej, która grała z „Metrem”. Znajomi mówili na niego „Naleśnik”.

Górniak zamieszkała w jego domu pod miastem. Ponieważ całymi dniami ćwiczył, strasznie się nudziła. Tym bardziej, że nie mając prawa jazdy, nie mogła sama jeździć do miasta. Z czasem „Naleśnik” odwoził ją rano do centrum, a sam wracał do domu ćwiczyć grę na trąbce. Długo z nią jednak nie wytrzymał. Po czterech miesiącach zaczął wydzwaniać do Wiktora Kubiaka, by ten jak najszybciej ją od niego zabrał. Nie mając za oceanem punktu zaczepienia, Edyta musiała wrócić do Polski i na jakiś czas zapomnieć o planach podbicia USA.

„American dream” wrócił, gdy po wydaniu pierwszej anglojęzycznej płyty, Edyta dostała ze Stanów kilka propozycji koncertowych. Niestety, wszystkie od Polonii. Pierwsze dwa występy (nie licząc, oczywiście, dawnej przygody w ramach „Metra”) miały miejsce w chicagowskim Copernicus Center 26 i 27 lutego 2000 r. To klub z tradycjami. Klimatu dodają mu wiszące fotografie gangstera wszech czasów Al Capone. Może pomieścić 2 tys. osób. Problem w tym, że to lokal polski, do którego rzadko zaglądną Amerykanie. Tymczasem Górniak marzyła o prawdziwej, międzynarodowej karierze. Pod tym względem przełomowy miał być występ 4 marca w klubie Webster Hall na Manhattanie. To miejsce bardzo znane wśród nowojorczyków. Grało w nim wielu amerykańskich wykonawców, tradycyjnie odbywają tam także kongresy partii republikańskich.

Na koncert udało się ściągnąć sporą liczbę przedstawicieli amerykańskiej branży muzycznej, w tym wiceprezesa EMI Evana Lamberga. Edyta bardzo ten występ przeżywała. Tymczasem, jeszcze przed koncertem, polskich muzyków zaczął prześladować pech. Najpierw Remigiusz Białas, współpracujący wtedy z Edytą realizator dźwięku, wdał się w awanturę z amerykańskimi fachowcami. Poszło o to, jak ustawić sprzęt. Amerykanie traktowali Polaków jak przybyszy z egzotycznego kraju, którzy na niczym się nie znają. W dodatku okazało się, że firma dostarczająca sprzęt przywiozła uszkodzony piec do gitary basowej. W ogóle zapomniano też o odsłuchach dla Górniak.

- Jeszcze półtorej godziny przed koncertem nie było pewne, czy w ogóle się on odbędzie - wspomina jeden z organizatorów.

Dobierając repertuar, piosenkarka skupiła się przede wszystkim na utworach w języku angielskim. Wśród publiczności połowę stanowili mieszkający na Manhattanie Polacy, drugą zaś ich znajomi Amerykanie. Po występie, wiceprezes EMI Evan Lamberg podszedł do Edyty i długo z nią rozmawiał. Powiedział, że zna jej repertuar, bo przesłała mu go centrala z Londynu. Był zaskoczony możliwościami koncertowymi Polki i jej zespołu.

- To był wspaniały koncert. Była pani świetna. Przynajmniej dwóch pracujących z panią artystów mógłbym od jutra zatrudnić w Nowym Jorku na warunkach, z których byliby zadowoleni - komplementował wiceprezes.

W przypadku zatrudnienia Edyty wiceszef amerykańskiego EMI był już jednak ostrożniejszy.

- Ona jest naprawdę zdolna i wiem, że by sobie poradziła. Problem w tym, że my, w Nowym Jorku, mamy wielu bardzo zdolnych artystów. W Ameryce talent to nie wszystko. Tutaj trzeba mieć hita! - usłyszała z jego ust polskie otoczenie artystki.

Lamberg tłumaczył, że nawet niezbyt zdolni wokaliści potrafili się przebić dzięki wielkiemu przebojowi. Tymczasem najzdolniejszy artysta polegnie, jeśli nie będzie miał przeboju, dzięki któremu zaistnieje na rynku muzycznym. Ale nawet piosenkarze z talentem i hitami mogą w USA zginąć, jeśli tu, na miejscu, nie będą mieli agenta, który non stop będzie walczył o ich karierę.

- Niestety, z Europy Wschodniej takich ludzi tu nie ma. Są reprezentanci Latynosów, Niemców, Brytyjczyków, ale od was nikogo - tłumaczył.

Wyjaśnił też, że w przypadku artystów z Europy, Amerykanie mają ściśle określoną strategię: chcą, by

dany muzyk zaistniał najpierw na starym kontynencie.

- Europa to dla nas taki papierek lakmusowy - wyjaśniał Lambert.

Mimo to, Górniak opuszczała Amerykę podbudowana. Wydawało się jej, że przebicie się na gigantyczny rynek amerykański to tylko kwestia czasu.

Pobyt w Stanach skończył się nieprzyjemnym incydentem. Przelot piosenkarki do USA i z powrotem fundował organizator. Było oczywiste, że musi to być miejsce w klasie biznes, gdyż Edyta latała tylko nią.

Dzięki temu unika wielogodzinnych rozmów z fanami, które nieuchronnie spotkałyby ją w klasie ekonomicznej. Po drugie, Górniak doskwierały wtedy bóle kręgosłupa. Podczas lotu często się podnosiła, przechadzała, gimnastykowała.

Tymczasem amerykańscy organizatorzy postanowili trochę zaoszczędzić i kupić bilet tuż przed odlotem, gdy ich ceny zwykle spadają. Niestety, okazało się, że pierwsza klasa jest już wyprzedana. Z kolei o locie w klasie ekonomicznej nie było nawet mowy! Rozwścieczona artystka, zamiast do Warszawy, poleciała do Londynu.

Po powrocie do Europy, zgodnie z radą prezesa Lamberta, zaczęły się gorączkowe poszukiwania hitu, który stałby się dla Edyty przepustką na rynek amerykański. Razem z artystką pracowali nad tym także przedstawiciele brytyjskiego EMI. Sama Górniak kilkakrotnie latała nawet w tej sprawie do Stanów. Podczas wyjazdu do San Francisco Edyta poznała Polkę, Agnieszkę Szeluk, z którą dość szybko się zaprzyjaźniła. Piosenkarka zaproponowała jej, by ta była jej asystentką. Po konsultacjach z mężem, Agnieszka zgodziła się na wyjazd do Europy. Między nią a Górniak początkowo panowała wielka miłość. Potem, podobnie jak w wielu innych przypadkach, doszło do konfliktu. Dziewczyna wróciła do Stanów i od tej pory obie panie nie miały ze sobą kontaktu.

Amerykańskiego rynku Edycie Górniak nie udało się podbić do dziś. Co kilka miesięcy dostaje propozycje z USA, tyle że wyłącznie od amerykańskiej Polonii. Koncerty te niczym się właściwie nie różnią od tych, które piosenkarka daje w Polsce. Czasem tylko jest bardziej prowincjonalnie.

Polska o mała nie zginęła

Jej wykonanie polskiego hymnu na Mundialu w Korei przeszło do historii. Nikt chyba jeszcze nigdy nie zirytował polskich kibiców tak bardzo, jak Edyta Górniak. Straciła miłość milionów Polaków. A nie był to jedyny owoc jej wyjazdu na mistrzostwa świata w piłce nożnej. Drugim była plotka o ciąży... z Aleksandrem Kwaśniewskim.

Pod koniec lutego 2002 r. do biura firmy Festival Group, która sprawowała impresariat Edyty Górniak, zadzwonił przedstawiciel naszej ambasady w Korei. Chciał rozmawiać z Marcinem Perzyną, ówczesnym agentem piosenkarki.

- Organizatorzy mistrzostw świata w piłce nożnej chcieliby, żeby przed jednym z meczów polskiej reprezentacji pani Górniak wykonała hymn - poinformował.

Edyta była dumna, że to właśnie jej złożono propozycję. Na podjęcie decyzji zostawiła sobie jednak kilka dni. Natychmiast podzieliła się tą informacją ze swoimi muzykami, z którymi przygotowywała się do recitalu na festiwalu w Opolu. Jak wspomina Adam Sztaba, ówczesny kierownik artystyczny zespołu, choć miała mnóstwo pracy, sprawę odśpiewania hymnu traktowała jak misję. Zadanie przygotowania aranżacji Mazurka Dąbrowskiego dostał właśnie on.

Wkrótce jednak pojawiły się pierwsze problemy. Koreańczycy wykupili Edycie bilet na samolot, zarezerwowali hotel, zapomnieli jednak, że artyści nie podróżują sami. Za nic nie chcieli sponsorować podróży jej ekipie.

Tymczasem do Korei wybiera! się też Aleksander Kwaśniewski, lecący jak zwykle dużym i częściowo pustym samolotem. Może więc muzycy mogliby polecieć jako część delegacji głowy państwa? Po starej znajomości zadzwonił do mnie wtedy Perzyna, prosząc o interwencję w Kancelarii Prezydenta.

Pracowałem wtedy w lewicowej „Trybunie”, z której także wywodzi się odpowiadająca za kontakty

prezydenta z prasą Teresa Grabczyńska. Poprosiłem ją o pomoc i udało się: prezydent wyraził zgodę na zabranie piosenkarki i jej świty na pokład polskiego „Air Force One”. Zapewnił im też noclegi.

Rozpoczęły się rozmowy z Koreańczykami na temat samego występu. Organizatorzy obiecywali, że Górniak będzie towarzyszyła duża seulska orkiestra symfoniczna. Zapewniali, że znają nasz hymn, bo znaleźli nuty w swej bibliotece narodowej. Polska strona zaproponowała jednak, że przywiezie własny aranż, nad którym, zarywając noce, pracował już przecież Adam Sztaba. Po występie na opolskim festiwalu zaczął pisać partyturę na orkiestrę symfoniczną opartą przede wszystkim na smyczkach. Melodia miała być wolniejsza niż w oryginale.

Tymczasem dwa dni po festiwalu, w teatrze Roma doszło do generalnej próby wykonania „Mazurka”. Tb był zamknięty, kameralny koncert zorganizowany przez jakąś firmę. Piosenkarce towarzyszył jej ówczesny ma-rzeczony Paul Wilson. Na próbie przed koncertem Edyta a cappella wykonała swoją wersję hymnu. Przynajmniej w dwóch miejscach wyraźnie zmieniła melodię.

- Organizatorzy z pewnością liczą na oryginalną interpretację - tłumaczyła swoim muzykom.

Ale Michał Grymuza, gitarzysta piosenkarki, a jednocześnie stary kibic piłkarski, czuł katastrofę. Starał się delikatnie wytłumaczyć Edycie, że jeśli zmieni melodię hymnu, polscy kibice jej tego nie wybaczą. Górniak śmiertelnie się na Grymuzę obrażała.

- Jako artystka mam prawo interpretować utwór tak, jak mi się podoba - krzyczała.

- Kibice to nie melomani! Gdy śpiewają hymn, są zwykle po trzech, czterech browarach. Nie może być mowy o jakimkolwiek zmienianiu melodii! - z uporem tłumaczył Grymuza.

Wspart go Adam Sztaba, ale w efekcie gwiazda obrażała się na nich obu. Do 2 czerwca, a więc do dnia wylotu z Polski, Edyta nie skontaktowała się ze Sztabą. W efekcie, nie słyszała nawet opracowanej przez niego aranżacji!

Tymczasem, tuż przed wyprawą, Perzyna dostał z Korei e-maila, że na stadionie, zamiast orkiestry symfonicznej, będzie... wojskowa orkiestra dęta. Był przerażony.

- W tej sytuacji rezygnujemy z wyjazdu - zaproponował nawet.

Jednak na to było już za późno. Prasa się rozpisywała, że polski hymn wykona Górniak, co wywołało nawet pewne zamieszanie, bo wcześniej piosenkę dla olimpijczyków nagrał tenor Marek Torzewski.

- Musimy lecieć, bo media nas zniszczą - zdecydowała Edyta.

Sztaba zaproponował, że w tej sytuacji zostanie w kraju, przerobi aranżację na potrzeby orkiestry dętej i prześle ją faksem do Korei. Górniak nie chciała się na to zgodzić. Przekonywała, że muzyk będzie potrzebny na miejscu. W końcu opracowanie aranżacji wykonał Tomek Filipczak, przyjaciel Adama. Ostatecznie na pokładzie prezydenckiego samolotu znaleźli się Edyta Górniak, Adam Sztaba i Marcin Perzyna. Oprócz Aleksandra Kwaśniewskiego, do Korei lecieli też jego doradcy oraz zaprzyjaźnieni dziennikarze, m.in. Zofia Czernicka. Dopiero w samolocie Sztaba dał Edycie do przesłuchania nagranie swojej wersji hymnu. Artystka była bardzo zadowolona. - Dokładnie o to mi chodziło - powtarzała.

Prezydent, jak to ma w swoim zwyczaju, przed startem przywitał się ze wszystkimi na pokładzie i zniknął w swoim saloniku. Edyta nie kryła, że zrobił na niej duże wrażenie. Krępowąła się natomiast zachowaniem oficerów Biura Ochrony Rządu, którzy już kilka minut po wzbiciu się w górę byli wstawieni. Większość podróży piosenkarka spędziła ze słuchawkami na uszach, słuchając demo z hymnem.

W drodze do Korei samolot miał międzylądowanie w Nowosybirsku, gdzie uzupełniono paliwo, a uczestnicy wyprawy zjedli skromną kolację. Podczas dalszej drogi prezydent raz albo dwa zapraszał artystkę do swojego saloniku, przedstawiając innym gościom. Wypytywał o samopoczucie, o karierę. W Seulu wylądowano wcześniej rano, ale z uwagi na ośmiogodzinną różnicę czasu między Polską a Koreą, Edyta była bardzo zmęczona. Prezydent ze swoją świtą został w mieście, natomiast muzycy polecili do Pusan, gdzie odbywał się mecz Polska-Korea. W recepcji hotelu Four Seasons czekała już na nich przerobiona przez Filipczaka aranżacja hymnu. Po południu razem z Adamem Sztabą, Górniak pojechała na płytę boiska, gdzie miała się odbyć próba. Na miejscu ujawniły się kolejne problemy. Orkiestra stała kilkadziesiąt metrów od Edyty, w dodatku dyrygent nie mówił po angielsku. Na szczęście, wśród

wolontariuszy pomagających w organizacji mistrzostw znalazły się dwie osoby, które przed laty studiowały w naszym kraju i dość dobrze znały polski.

Gdy zaczęła się próba, nasza ekipa była przerażona. Wojskowi grali jak orkiestra strażacka, w dodatku dużo za wolno. Edyta konsekwentnie zmieniała melodię, co Sztaba raz jeszcze próbował jej wyperswadować. Jednak i tym razem skończyło się kłótnią. Mimo wszystko, artystka wypadła dosyć dobrze. Po jej występie podszedł do niej z gratulacjami znany koreański tenor, który także miał śpiewać przed meczem.

- Słyszałem wcześniej polski hymn, ale nie wiedziałem, że można go tak pięknie wykonać - komplementował.

Brawo bili też pracujący na stadionie operatorzy telewizyjni. To bardzo poprawiło wszystkim humor. Górniak poprosiła jednak organizatorów o nagłośnienie orkiestry. Ci wprawdzie obiecali, że coś z tym zrobią, ale polscy muzycy wyczuli, że raczej nic z tego nie będzie. Zastanawiali się nawet, czy nie odwołać występu. Zdecydowali się jednak wystąpić, tym bardziej, że Edyta była w doskonałym nastroju, w hotelu kokietowała nawet koreańskiego kelnera, próbując mówić w jego języku „dzień dobry”, „proszę” i „przepraszam”. Zapewne nie wiedziała, że wkrótce czekają ją jedne z najtrudniejszych chwil w karierze. Występ miał się odbyć następnego dnia wieczorem. Górniak odebrała z pralni swoją czerwoną kreację i koncentrowała się przed występem. Sukienka była z jakiegoś strasznego materiału, który przy każdym dotknięciu się gniótł.

- Pogniotła się nawet wtedy, kiedy Górniak ją zakładała. Trzeba było ją prasować na Edycie - opowiada członek ekipy.

W tym czasie Perzyna poszedł na stadion, gdzie gromadzili się już kibice. Dziś przyznaje, że przygotowując się do występu, nikt z Polaków nie wziął pod uwagę, jakiego rodzaju publicznością będzie wypełniony stadion. Kibice akurat ćwiczyli doping dla swej drużyny, więc panował przeraźliwy hałas. Walenie w bębny, okropne wrzaski...

Kiedy wyszedł 15 minut przed hymnem, sytuacja się nie zmieniła. Zszedł do garderoby i ostrzegł Górniak, że nie ma szans, by się słyszała. Edyta bardzo się zdenerwowała. Mówiła do siebie, co jest jej starym sposobem na koncentrację.

Tymczasem zbliżała się godzina zero. Adam Sztaba po raz kolejny podbiegł do garderoby dyrygenta.

- Błagam, niech pan nie prowadzi swojej orkiestry zbyt wolno - prosił kolejny raz.

Ten mu przytaknął i wszedł na murawę. Edyta wyszła na boisko, ale wrzawa kibiców nie cichła. Oddalona o kilkadziesiąt metrów orkiestra zaczęła grać. Dyrygent stał do piosenkarki tyłem, tłum cały czas wrzeszczał i skandował, w dodatku, zgodnie z obawami, orkiestra nie była nagłośniona! Edyta kompletnie nic nie słyszała. Mimo ostrzeżeń, w jednym miejscu zmieniła melodię. Między orkiestrą a śpiewem pojawiło się kilkusekundowe opóźnienie, co brzmiało jak awaria techniczna. Piosenkarka o tym jednak nie wiedziała: jeszcze po zejściu z murawy mówiła, że nie wie, jak jej poszło. Także Perzyna, który był na płycie boiska, nie zorientował się, że doszło do katastrofy. Sztaba wiedział, że coś jest nie tak. Oglądał występ w telewizji w garderobie, jednak huk ze stadionu zagłuszał mu odbiór.

Po występie, nie przeczuwając najgorszego, część ekipy oglądała mecz w sektorze dla VIP-ów razem z prezydentem. Jak wiadomo, polska reprezentacja przegrała z Koreą 0:2.

Gdyby nie porażka, zapewne żadnego skandalu by nie było, ale w tej sytuacji trzeba było znaleźć winnego. Padło na Edytę. Burza, jaka się rozpuętała w Internecie, przeszła najśmielsze oczekiwania. Jako pierwszy dowiedział się o niej Adam Sztaba. W hotelu usiadł do komputera i przeczytał pierwsze opinie internautów. Był załamany. Edycie postanowił jednak nic nie mówić. Następnego dnia prezydencka delegacja wracała do Polski.

Podczas międzylądowania w Nowosybirsku, Perzyna włączył swoją komórkę, która z przyczyn technicznych w Korei nie działała.

- Tb był szok. Kilkadziesiąt sms-ów, przepełniona i zablokowana poczta głosowa. Dzwonili głównie dziennikarze, i wszyscy bez wyjątku pytali o występ - opowiada agent artystki.

W Nowosybirsku wszyscy spędzili noc z 5 na 6 czerwca. Władze miasta zaprosiły Aleksandra Kwaśniewskiego na uroczystą kolację oraz rejs statkiem. Prezydentowi towarzyszyli doradcy i specjaliści goście m.in. Zofia Czernicka. Aleksander Kwaśniewski zabrał także Edytę, którą przedstawiał gospodarzom jako naszą eksportową gwiazdę.

Podczas kolacji panowała luźna atmosfera. Był alkohol. Jak wspominają uczestnicy przyjęcia, Górniak piła wino. Po kilku godzinach zrobiło się bardzo wesoło. Najpierw zaczęła śpiewać Edyta, potem dołączyło do niej podchmielone towarzystwo. W tym czasie ekipa piosenkarki odsypiała lot w obskurnym hotelu.

Na drugi dzień Edyta była w bardzo dobrym humorze.

- Było bardzo przyjemnie, tylko wstawiłam się trochę winem - opowiadała kolegom.

Było jednak widać, że jej stosunek do prezydenta wyraźnie się zmienił. Nadal była trochę skrępowana, jednak już znacznie częściej go odwiedzała. W trakcie lotu do Moskwy, gdzie przewidziane było drugie międzylądowanie, wędrowała do prezydenckiego saloniku kilka razy. Czasami zapraszali ją tam oficerowie BOR.

- Pani Edyto, pan prezydent prosi na krótką rozmowę - mówili co jakiś czas.

W Moskwie Aleksander Kwaśniewski spotykał się z Władimirem Putinem. Edytą i jej ekipą zajęli się pracownicy polskiej ambasady, którzy pokazali im najciekawsze miejsca w stolicy Rosji. Później, podczas niezbyt długiego lotu z Moskwy do Warszawy, doszło do zabawnego zdarzenia. Górniak postanowiła poprosić prezydenta o autograf. Skombinowała kawałek kartki i po raz ostatni do niego poszła. Gdy po jakimś czasie oficer BOR przyniósł autograf, okazało się, że Aleksander Kwaśniewski... pomylił imię. Zamiast „Edycie”, napisał „Eli”. Piosenkarka nie wiedziała jak ma się zachować, ale krępowała się zwrócić uwagę głowie państwa. Jednak po godzinie ponownie podszedł do niej borowik.

- Przepraszam, ale pan prezydent się pomylił - powiedział, wręczając autograf z prawidłową dedykacją. Tymczasem jeszcze w Moskwie Marcin Perzyna zaczął przygotowywać Edytę do tego, co ją czeka w kraju. Kolejne telefony od dziennikarzy, przyjaciół oraz kolegów z branży kazały się liczyć z najgorszym.

Wszystko wskazuje na to, że z powagi sytuacji zdawał sobie też sprawę prezydent. Jeszcze z Moskwy ktoś z jego ludzi zasugerował Kancelarii Prezydenta, by w oficjalnym komunikacie podać inną niż rzeczywista godzinę przylotu do Polski. Wszystko po to, by na lotnisku nie pojawili się dziennikarze i nie dręczyli artystki. Dzięki wybiegowi, zamiast rzeszy wścibskich dziennikarzy, na lotnisku czekał na Górniak tylko Sebastian Mikołajczyk, współpracownik Marcina Perzyny. Pokazał najnowsze gazety, które pisały głównie o jej niefortunnym występie. Edyta była przerażona.

- Mam jeszcze po co wracać do Polski czy raczej powinnam zmienić kraj? - pytała zdenerwowana.

Dzięki życzliwości prezydenta, wsiadła do jednej z jego limuzyn z przyciemnionymi szybami i gdzieś odjechała.

Kilka miesięcy później gruchnęła plotka o romansie Edyty Górniak z Kwaśniewskim. Flirt miał się zacząć podczas wyjazdu na mistrzostwa do Korei, a jego owocem miała być ciąża piosenkarki. Najbardziej skrajne wersje tej powtarzanej z ust do ust historii mówiły nawet, że artystka potajemnie przygotowuje się do usunięcia ciąży w Portugalii.

Najpierw sensacyjna informacja obleciała tak zwaną Warszawkę. Jako pierwszy króciutką wzmiankę o rzekomym romansie opublikował w styczniu 2003 r. tygodnik „NIE”, później niewielka informacja ukazała się w satyrycznej rubryce tygodnika „Wprost”. Telefon Marcina Perzyny dosłownie się urywał. Znajomi dziennikarze prywatnie wypytывali go, czy to możliwe. Inni oczekiwali oficjalnego stanowiska gwiazdy.

- Tb wykluczone. W Korei praktycznie cały czas spędzaliśmy razem, Edyta miała pokój obok mojego. Prezydenta zresztą prawie w ogóle z nami nie było. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, czy podczas pobytu mieszkał w tym samym hotelu, co my - zapewniał Marcin.

Ale afera pęczniała. Wszyscy prześcigali się w domysłach co do szczegółów romansu. W dodatku sytuację zaogniła inna plotka, tym razem o wyprawdzce Jolanty Kwaśniewskiej z Pałacu Prezydenckiego.

- To oczywiście była bzdura - opowiada przyjaciel prezydentowej, jeden z szefów dużej spółki. - Niedługo wcześniej Jola ściągnęła przecież do pałacu ciężko chorego ojca. Trudno więc sobie wyobrazić, by go

nagle zostawiła - dodaje mój rozmówca.

Tego drugiego newsa Kancelaria Prezydenta szybko zresztą zdementowała, twierdząc, że pierwsza dama wyjechała na kilkutygodniową konferencję zagraniczną.

Tymczasem ludzie z otoczenia Aleksandra Kwaśniewskiego oraz współpracownicy artystki zachodzili w głowę, kto mógł być źródłem informacji o ich romansie. Pojawiła się nawet teoria, że plotkę kolportuje otoczenie ówczesnego premiera Leszka Millera, który wtedy był z Kwaśniewskim w poważnym konflikcie. Fakt faktem, że o rzekomym flircie opowiadali poważni politycy, zarówno z prawicy, jak i lewicy, co powodowało, że postanowili się nią zająć poważni dziennikarze. Wszyscy mieli dylemat, jak podejść do tematu i jak zweryfikować sensacyjne informacje.

Do przełomu doszło 22 stycznia 2003 roku, tuż po sejmowej debacie nad polską polityką zagraniczną, której tradycyjnie przysłuchiwał się prezydent. Przed zaplanowaną konferencją prasową Aleksandra Kwaśniewskiego, dziennikarze dyskretnie spytali Teresę Grabczyńską, czy jej szef nie zechciałby się odnieść do plotki. Kwaśniewski wyraził zgodę, bo w gruncie rzeczy przecięcie spekulacji było mu na rękę. Gdy jednak pytanie padło, udawał wzburzonego.

- Jako dziennikarze, powinniście się zastanowić nad zasadami, które muszą was obowiązywać. W waszym zawodzie nie wszystko jest na sprzedaż - pouczał, pozorując zaskoczenie i zirytowanie. I, żeby nikt już nie miał żadnych wątpliwości, dodał: - To wszystko jest całkowitą nieprawdą, a rozpowszechnianie takich pogłosek jest niegodziwe i wobec mnie, i wobec mojej małżonki, i wobec pani Górniak.

Mniej więcej w tym samym czasie także Edyta postanowiła zabrać głos w sprawie romansu.

- Byłam zdumiona, że tylu ludzi dało wiarę tej absurdalnej plotce - tłumaczyła w wywiadzie dla „Gali”. - Najgorsze było to, że mówiono, że podobno usunęłam ciężę, czyli zamordowałam własne dziecko. Chyba większego oszczerstwa pod adresem kobiety nie można rzucić - żaliła się Górniak.

Dziennikarze dociekali jeszcze, jak to się stało, że piosenkarka poleciała do Korei prezydenckim samolotem. Pałac Prezydencki zapewniał, że koszty podróży piosenkarki i jej towarzyszy zostaną pokryte z kieszeni artystki. Z pewnych źródeł wiem, że takiego rozliczenia nigdy nie było.

Podobało się Panu, jak Edyta Górniak śpiewała hymn?

Prezydent RP: Nie wiem, dlaczego zdecydowali się organizatorzy na takie rozwiązanie. Moim zdaniem, pomysł był od początku zły, dlatego, że na stadionie było 60 tys. kibiców koreańskich, którzy przynajmniej od kilku godzin grali na bębnach, wykrzykiwali, jak myślę, dobre dla drużyny koreańskiej hasła. Gdyby było tam nawet trzech Pavarottich i jeszcze dwóch Placido Domingo, i tak nic by nie było słychać. Wysięk pani Edyty, która zdecydowała się taki szmat drogi jechać, był trochę skazany na niepowodzenie od samego początku. Tam na tym stadionie nie było słychać ani koreańskiego hymnu, ani polskiej piosenkarki, ani nikogo innego. Myśmy sami siebie nie słyszeli. Pod kopułą wspaniałego stadionu w Pusan, było słychać tylko tych kibiców, którzy żądali zwycięstwa i dostali to zwycięstwo.

(strona internetowa prezydenta, 6 czerwca 2002 r.)

Ze zdziwieniem i oburzeniem wysłuchałem wykonania naszego hymnu państwowego na początek udziału polskiej reprezentacji w Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej. Niezgodne z linią melodyczną „Mazurka Dąbrowskiego” zawołania i uduchowione wokalizy w wykonaniu Edyty Górniak nie tylko obrażają moje uczucia patriotyczne, ale są sprzeczne z duchem i zapisem ustawy z 31 stycznia 1980 roku (z późniejszymi zmianami) o godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej. Artykuł 12 w punkcie 3 wyraźnie odwołuje się do załącznika 5 do ustawy, w którym jednoznacznie podano zapis nutowy naszego hymnu w układzie m.in. na jeden głos. Kolejny artykuł ustawy stwierdza wprost, że „hymn państwowy wykonuje się lub odtwarza publicznie w układach, o których mowa w artykule 12”. Nie trzeba mieć wykształcenia muzycznego, aby przekonać się, że publiczne wykonanie pani Górniak nie miało wiele wspólnego z zapisem nutowym zaprezentowanym w ustawie. Kto wpadł na „genialny” pomysł unowocześnienia hymnu państwowego na ziemi koreańskiej? Nie wiem. Wiem jednak, że czyn ten jest sprzeczny z

przytoczoną ustawą i jako taki powinien podlegać ściganiu, o dobrym smaku i deptaniu uczuć patriotycznych nie wspominając. Wypada zakończyć smutną konstatacją: jaki hymn, taka gra polskiego zespołu.

dr Krzysztof Borowiak, Poznań
(Rzeczpospolita, 7 czerwca 2002 r.,
„Listy od czytelników”)

armanda#: Jak podobał się Panu hymn wykonany przez Edytę Górniak?

Jacek Zieliński, uczestnik MS w Korei: Nie będę odosobniony w opinii, że nie przypadła mi do gustu interpretacja pani Edyty. Hymn to jest tradycja, świętość. Nie można go interpretować na własny sposób. (Gazeta Wyborcza, 20 czerwca 2002 r.)

Edyta Górniak zdecydowała się na bezprecedensowe zdementowanie krążących od pewnego czasu plotek o jej rzekomej ciąży i romansie z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. W specjalnym wywiadzie, jakiego udzieliła w tym tygodniu w Londynie telewizji Polsat, powiedziała, że na zabranie głosu na ten temat zdecydowała się ze względu na fakt, iż obraża się głowę państwa i jego rodzinę. Przy okazji ujawniła kilka swych najbliższych planów. 31-letnia Górniak nie była zaskoczona krążącymi od jakiegoś czasu kolejnymi plotkami, jakoby była w ciąży. „Regularnie słyszę, że jestem w ciąży. Tak było już chyba z pięć razy. Tak więc kolejny raz, gdy słyszę o tym, nie jest dla mnie zaskoczeniem. Na początku było to dziwne, a obecnie jest to już po prostu śmieszne (...) To jest strasznie trudne i trochę irytujące, że w czasie, gdy najbardziej marzę o macierzyństwie, mówi się o tym, że będę matką. Żałuję, ale nie... (...) Gdybym rzeczywiście była w ciąży, byłabym bardzo szczęśliwa, choć nie wiem, jak zareagowałaby na to moja wytwórnia, gdyż jest to dla nas wszystkich bardzo pracowity okres. Muszę więc jeszcze z tym poczekać”. Edyta nie ukrywa, iż jest obecnie zakochana, choć nie ujawnia tożsamości swego narzeczonego. Wiadomo jedynie, iż jest on Anglikiem. „Po raz pierwszy jestem szczęśliwie zakochana... i to ze wzajemnością. To uczucie, którego nie rozpoznawałam wcześniej w moim życiu. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, mieszkamy w Londynie, gdzie niedawno kupiliśmy dom, do którego na dniach przeprowadzamy się. (...) Tak więc wszystko jest w porządku. Oczywiście marzę o macierzyństwie, ale obecnie czas mi na to nie pozwala i przez najbliższy rok pewnie będę musiała przetrzymać to marzenie na później”. Górniak zdecydowała się tym razem publicznie zdementować plotki o rzekomej ciąży, gdyż twierdzono, iż jest kochanką prezydenta Kwaśniewskiego. „W momencie, gdy zaczyna się mówić o tym bardzo poważnie i obraża się głowę państwa, zaczyna to być co najmniej niesmaczne. Pomijam przy tym moją osobę i mojego partnera, który tak czy inaczej słyszy i widzi, co się dzieje. Jest mi bardzo przykro z powodu prezydenta Kwaśniewskiego i wszystkich przykrości, na które był narażony on i jego najbliższa rodzina. (...) Początkowo, gdy zaczęły do mnie docierać informacje na ten temat, było to dla mnie śmieszne, później żenujące, a potem znów śmieszne. Tak naprawdę zrobiło mi się żal nie siebie, tylko człowieka, którego miałam zaszczyt podziwiać podczas całego pobytu w Korei, kiedy reprezentował Polskę. Jest to obraźliwe w stosunku do tego człowieka, że się go w ten sposób traktuje i właściwie poniewiera jego nazwisko. (...) Także moją osobę potraktowano bezgranicznie niemiłosiernie. Myślę, że już nic gorszego nie może mnie spotkać, i dlatego nie mogę powiedzieć, że się czegokolwiek obawiam, bo teraz nie można już niczego gorszego powiedzieć, skoro powiedziano, że jestem kochanką, a potem słyszałam, że usunęłam ciążę, czyli zamordowałam własne dziecko. Chyba większego oszczerstwa wobec kobiety nie można powiedzieć”.
(Interia, 25 stycznia 2003 r.)

Wysłałam za mąż. Zaraz wracam.

Jest jeszcze z Paulem, gdy na horyzoncie pojawia się Dariusz Krupa. Nieprzytomnie zakochany w Edycie gitarzysta wkrótce staje się jej partnerem i obrońcą. Edyta czuje się silniejsza i wydaje wojnę mediom.

Na świat przychodzi ich syn Allan, który od razu staje się bohaterem skandalu wywołanego przez mamę. Górniak żegna się z fanami, żeby za kilka miesięcy ogłosić swój powrót, ale jej gwiazda przygasa. Gazety piszą o niej więcej, niż kiedykolwiek, ale już nie jako o wybitnej piosenkarkce.

Dariusza Krupę z Edytą poznał w 2003 r. jej były chłopak Adam Sztaba. Górniak miała jechać na koncert do Stanów Zjednoczonych, tymczasem z zespołu odszedł właśnie gitarzysta Michał Grymuza, który został kierownikiem muzycznym u Kasi Kowalskiej. Sztaba zaproponował, by Krupa go zastąpił. Edyta się zgodziła, do Stanów pojechali już razem.

Darek był nią zachwycony, ona też czuła do niego sympatię. Mimo to, wtedy jeszcze o uczuciu nie mogło być mowy. Edyta była związana z Paulem Wilsonem, z którym planowała założyć rodzinę i mieć dzieci. Jednak Krupa postanowił walczyć. O tym, że między nim a Edytą coś się rodzi, znajomi przekonali się po koncercie w Olsztynie w czerwcu 2003 roku. Muzycy mieszkali w luksusowym dworku nad samym jeziorem.

Wszyscy mocno się wstawili. Jedni śpiewali przy whisky, inni pili wino, a jeszcze inni poszli się kąpać do jeziora. Musiało być dosyć głośno, bo nazajutrz szefostwo ośrodka zakomunikowało muzykom, że więcej ich tam nie chce.

Podczas imprezy, po większej ilości alkoholu, Darek się rozkleił. Pół nocy przesiedział na pomoście, uzalając się, że Edyta go nie chce, że woli tego całego Paula. Jak wspomina jeden ze świadków, po pijanemu chciał nawet skakać do wody.

Być może właśnie wtedy nastąpił jakiś przełom, bo Edyta zaczęła spędzać z Darkiem coraz więcej czasu. Wkrótce u niego zamieszkała. Przekonałem się o tym przypadkiem, gdy około 2 nad ranem zadzwoniła do mnie zdenerwowana Górniak. Prosiła o pomoc, bo zatrzymał ją radiowóz (zajmowałem się wtedy tematyką policyjną w jednym z dzienników). Problem polegał na tym, że samochodem Krupy kierowała niemająca prawa jazdy Edyta.

- Jeździliśmy bocznymi uliczkami w Milanówku, gdzie mieszka Darek. On mnie tylko doszkałał wjeździe samochodem - mówiła Edyta. - Nie chodzi o mnie, ale policjant zabrał mu prawo jazdy. Tymczasem on pracuje w Warszawie i musi tam jakoś jeździć.

Staralem się ją uspokoić. Nazajutrz sprawę udało się załagodzić.

W lipcu 2003 r. Edyta i Darek występowali razem na odbywającej się w Sopocie pierwszej edycji festiwalu TOP/trendy. Wtedy już nie kryli, że są razem. Mniej więcej w tym czasie artystka skończyła znajomość z dotychczasowym narzeczonym Paulem Wilsonem.

Przez kolejne dwa miesiące po festiwalu o Górniak było właściwie cicho. Jej ówczesny agent bezskutecznie próbował zorganizować jej trasę. Ogłoszono nawet terminy, rozwieszono w niektórych miastach plakaty, jednak zainteresowanie było mizerne. Na kilka dni przed pierwszym planowanym występem okazało się, że sprzedano jedynie kilkanaście biletów. Koncert, oczywiście, odwołano. Edyta była rozczarowana, wkrótce postanowiła zrezygnować z usług Marcina Perzyny. Nic mu nie mówiąc, zaproponowała współpracę Maciejowi Durczakowi, menedżerowi zespołu „Ich Troje”. Kiedy odmówił, o organizację koncertów poprosiła... Tomka, swojego fryzjera! Widząc jednak, że sobie nie radzi, postanowiła założyć firmę. Podziękowała Marcinowi za współpracę, a kilka dni później wpadła do jego biura i zaczęła ściągać ze ścian swoje trofea: złote płyty, dyplomy, prezenty, plakaty.

Czym, oprócz organizacji jej koncertów, miała się zajmować jej firma? Edyta nie miała sprecyzowanych planów. Pomysłów było wiele: piosenkarka miała m.in.. projektować ubrania, wspierać młode talenty, a wszystko firmować swoim nazwiskiem. Artystka przyjaźniła się wówczas ze swoim fryzjerem Tomkiem i jego przyjacielem Maćkiem. Spędzała z nimi dużo czasu. U jednego z nich, w warszawskim mieszkaniu w okolicach placu Bankowego, miała nawet swój pokój. Nic dziwnego, że teraz zaproponowała im wspólny interes. Współwłaścicielkami firmy miały być też Joanna Hereta i Ewa Galin. Maciek zgodził się przekazać na potrzeby przyszłej spółki swoje osiemdziesięciometrowe mieszkanie przy ul. Świętokrzyskiej. O jego wyremontowanie Edyta poprosiła swojego ojczyma, w pracach pomagała też matka piosenkarki. Między współnikami szybko jednak doszło do pierwszej sprzeczki. Chodziło o to, kto ma zarządzać biznesem i

jakie ma mieć udziały w zyskach.

- Edyta, nie ponosząc żadnych nakładów finansowych i jedynie firmując działalność swoim nazwiskiem, chciała mieć największe dochody. Inni nie chcieli na to przystać - opowiada kolega Edyty Górniak.

W tej sytuacji, gwiazda zrezygnowała z przedsięwzięcia, obrażając się przy okazji na Tomka, Maćka i Joannę. Maciek, który jest fotografem, musiał też oddać laptopa, którym Górniak zapłaciła mu wcześniej za jedną z sesji zdjęciowych. Nawiasem mówiąc, laptop nie należał do Edyty, lecz do Darka Krupy. Gdy jednak Edyta zażądała zwrotu 8 tysięcy zł. za pomalowanie mieszkania, Maciek odmówił.

Piosenkarka nie dawała jednak chłopakom spokoju. Jak opowiada znajomy artystki, najpierw straszyla ich sądem, potem zaczęła przekonywać, jacy są beznadziejni. Mówiła, że tylko ona korzystała z ich usług, bo przecież żaden inny artysta nie zamawiał u Maćka zdjęć, ani nie chciał się strzyc u Tomka.

Jakiś czas później piosenkarce przyszedł do głowy pomysł na otwarcie knajpy z naleśnikami, ale i z tego nic nie wyszło.

Wkrótce okazało się, że Edyta i Darek spodziewają się dziecka. Niemal natychmiast za gwiazdą ruszyły prawdziwe pościgi paparazzi. Redakcje kolorówek za wszelką cenę chciały mieć zdjęcia potwierdzające, że Górniak jest w ciąży. Krupa strzegł jej, jak mógł, wielokrotnie wdając się w szarpaniny z natrętnymi fotoreporterami. Aby pozbyć się ich spod domu, wzywał policję i straż miejską. Wojna o fotografię skończyła się, gdy piosenkarka pojawiła się w jednym z muzycznych programów telewizyjnych i publicznie pokazała swój całkiem już spory brzuszek.

Ale natura nie znosi próżni. Niemal natychmiast w kolorowej prasie pojawiły się spekulacje, czy Górniak i Krupa są małżeństwem i kiedy wypada termin porodu. (W rzeczywistości, ślubu nie wzięli do dziś, choć część mediów tytułuje Darka mężem piosenkarci.) Chcąc uśpić czujność paparazzi, artystka zapowiadała, że urodzi poza granicami kraju. Na próżno.

Gdy tylko nadeszła wieść, że piosenkarka jest w szpitalu położniczym w Łomży, natychmiast wybrało się tam kilku warszawskich fotoreporterów. Koczując przed budynkiem, próbowali za wszelką cenę ustalić, które okno wychodzi z sali Edyty, ale uzyskiwali całkowicie sprzeczne informacje.

Gwiazda była bardzo dobrze ukryta. Odizolowano ją od innych pacjentów. Do jej pokoju można się było dostać wyłącznie windą dla personelu. Klucz do drzwi miała tylko jedna pielęgniarka i ordynator oddziału Leszek Poppe. Jak twierdzą śledzący ją wtedy paparazzi, w szpitalu nikt jej specjalnie nie odwiedzał.

Najczęściej w nocy ciemnym oplem przyjeżdżał Darek, czasami ze swoim szwagrem, właścicielem tartaku. Po kilku dniach pojawiła się informacja, że artystka opuściła już szpital. Jedna wersja mówiła, że gwiazda wyjechała karetką z podziemnego garażu. Druga, że wyszła przez... prosektorium. Jednemu reporterowi udało się zrobić z daleka zdjęcie jakiejś kobiecie, która opuszcza szpital. Twierdził, że to Górniak, tym bardziej, że niemal natychmiast w pokoju artystki zgąsło światło.

- To nie ona. Sfotografowałeś jakąś zwykłą dziewczynę - przekonywał jednak fotograf z konkurencyjnej gazety.

Tydzień po porodzie dziennikarze uznali, że Górniak już tam nie ma i odjechali do Warszawy. Następnego dnia rano pojawiła się jednak informacja, że Edyta nadal jest w szpitalu. Musieli wracać.

- W pewnym momencie, podczas podróży do Łomży, obok naszego samochodu pojawiły się dwa inne. Zaczęły za nami jechać. Zawróciliśmy do Warszawy, ale jeszcze przez 50 kilometrów śledziły nas ciemne ople omegi. Ich kierowcy cały czas jechali na długich światłach i często naciskali klaksony. Potem się odczepili, ale trochę strachu nam narobili - relacjonuje jeden ze śledzących Górniak paparazzi.

Ale poród był jedynie początkiem festiwalu Edyty w kolorowej prasie. Urodzony 27 marca 2004 r. Allan Krupa od razu stał się bohaterem tabloidów. Na ich łamach krytykowano imię, jakie Edyta postanowiła nadać swemu dziecku, pisano o księdzu, którego gwiazda miała rzekomo wyrzucić ze szpitala. Wkrótce pojawiły się też poważniejsze zarzuty, m.in. o niezapłacenie przez Krupę 12 tys. zł. za okna do domu w Milanówku. Wojna między dziennikarzami a piosenkarką i jej chłopakiem przybierała coraz ostrzejsze formy. Pod koniec czerwca artystka zaatakowała Gabora Lorinczego, reportera, który próbował jej zrobić zdjęcie pod budynkiem łomżyńskiej prokuratury. Innym razem z natrętnymi fotoreporterami postanowił

się rozliczyć Darek.

- Którejś soboty dostaliśmy cynk, że Górniak i Krupa są w kinie na Bemowie. Pojechaliśmy we dwóch i ich znaleźliśmy. Kiedy jechaliśmy za nimi, zorientowali się jednak, że ich śledzimy. Po jakimś czasie samochód się zatrzymał, a przed naszą maską pojawił się Darek. Nie wiadomo kiedy otoczyło nas kuku drecholi. Spierdoliłem, ale mój kolega został w krzakach - opowiada warszawski paparazzi. - Jeden z kumpli Krupy go wypatrzył i zaczął gonić. Rzucił w niego kamieniami, krzyczał, że go zabije. Na szczęście kolega wmieszał się w jakąś grupkę facetów i się uratował.

Niekorzystne dla artystki artykuły pojawiały się nie tylko w prasie bulwarowej. W lipcu w „Życiu Warszawy” ukazał się artykuł o kryminalnej działalności teścia piosenkarki. Okazało się, że Tadeusz Krupa kilka miesięcy wcześniej opuścił areszt za pięćdziesięciotysięcznym poręczeniem majątkowym. Sąd odebrał mu również paszport. Oskarżano go o spowodowanie strat skarbu państwa w wysokości miliona złotych, wymieniano jako osobę związaną z aferami paliwowymi. Po tej ostatniej publikacji Edyta nie wytrzymała. Na swojej stronie internetowej opublikowała skierowany do dziennikarzy list, w którym oskarżała media o brutalny atak na swoją osobę i zapowiadała koniec swojej kariery:

„Ten news z pewnością dla wielu będzie ekscytujący!

Nadszedł bowiem oto dzień waszego zwycięstwa! Możecie świętować - wasz trud zniechęcenia mnie do życia publicznego nie poszedł na straty. Przekroczyliście już wszystkie granice, gubiąc po drodze człowieczeństwo (zupełnie dziś niemodne), wszelką godność i etykę zawodową. No i udało się! Nie mam już wątpliwości, że nie odnajdę żadnej przyjemności w wychodzeniu na scenę i rozdawaniu siebie innym! Nie mam wątpliwości, że na tym świecie są ludzie i POTWORY, które nigdy nie powinny być się urodzić. Nie tylko ci, którzy mordują w prezencie urodzinowym dla kolegi, ale również ci, którzy zlecają zabójstwa, żeby się tym pożywić. Choć w przypadku tych drugich nie widać śladów mordu, to chcę, żebyście wiedzieli, pierdolone szczury, że macie na swoich rękach KREW.

Zniszczycie choćby największe świętości, żeby mieć swojego NEWSA. A potem jecie kolację i wkurwia Was do nieprzytomności nasze szczęście i nasza KONSEKWENCJA. To, że nikomu z Was nie udało się nas przekupić. W waszych wyszukanych historyjkach widać, jak straszliwie was to BOLI!

Nasza rodzina jest naszą twierdzą! Zapamiętajcie to sobie! Możecie, oczywiście, doprowadzić do zawału mojej Matki, albo mojej Teściowej. Możecie zniszczyć artystę, którego kiedyś kochaliście i o którym tak lubicie mówić - Ona jest Nasza - ale nie zniszczycie CZŁOWIEKA. Mam swoją godność i od tego momentu nie obchodzi mnie, czy się na nas zeszacie, czy wyrzycacie.

Nachapcie się, ile się da, może dostaniecie 100 zł podwyżki, bo pomnika nikt wam za to nie postawi. Za to przysięgam wam - pod koniec waszego pustego i szkodliwego życia dopadnie was sumienie i oby targało wam nawet, jak już będziecie zarobaczeni.

Konkurs (dla młodych autorów tekstów muzycznych, który wcześniej ogłosiła Edyta - przyp. aut) odwołuję. Choć mam nadzieję, że jest wielu zdolnych w tym zakłamanym kraju ludzi. Wierzę, że ktoś jeszcze da im szansę. Przykro mi, że tak się to wszystko zakończyło. Ale nie mam już najmniejszej ochoty śpiewać i tworzyć dla ludzi. Nie będę się zmuszać i walczyć z robactwem, żeby jeszcze ktoś przy okazji mojej uczciwej pracy mógł się nakraść. Żeby ktoś moje kilkumiesięczne przesiadywanie w studio po nocach skomentował tym, jak byłam ubrana.

Kiedyś nie mogłabym tego zrobić, dziś na szczęście Bóg dał nu wybór. Tak więc wybieram Rodzinę. Wybieram miłość, o jakiej możecie sobie tylko pomarzyć. Gdyby taka w waszym życiu, istniała, bylibyście innymi ludźmi. Mielibyście jakieś wartości i zasady w swoich durnych głowach, a tak zestarzejecie się sami.

Od tego momentu nie będę zaglądać na strony żadnych portali, które są jak chorągiewki, ani nawet na swoją stronę. Możecie więc dać upust swojej fantazji i histeryzować na temat mojej rodziny, ile chcecie. Chociaż tym razem - tak dla zasady - nie szkoda mi będzie pieniędzy na najlepszych w Polsce Prawników, tak więc ciągnijcie dalej nastąpi.

Ale póki co, możecie świętować. Artysta - choć nie widać śladów morderstwa - zniszczony. Niech trzaskają się dla Was inni - mnie się nie chce. Poddaję się. Wygraliście. Czy to tak bardzo chcieliście od tylu lat usłyszeć? To dam wam jeszcze jeden prezent - nie mam już naturalnego mleka dla Naszego syna. Wasza nienawiść przebiła w końcu moją skórę. Brawo! Jesteście genialni! Żeby było jasne, ci, którzy dali powody kupując te wszystkie szmatławce, utwierdzili redaktorków, że warto jest NISZCZYĆ. Teraz już rozumiem, dlaczego Świętej Pamięci Czesław Niemen przestał dla Was śpiewać. A ile był dla was wart, dowiedział się po swojej śmierci. Cóż za refleks! Może i ja się w taki sposób dowiem."

Oprócz odezwy, na swojej stronie internetowej artystka opublikowała zdjęcie synka utyłanego w kale. Fotografie opatrzyła krótkim tekstem, iż jest ona przeznaczona dla dziennikarzy.

Znajomi artystki, gdy to zobaczyli, byli przerażeni. Dzwonili do Krupy z pretensjami.

- Co wy, kurwa, odpierdalacie? Robicie krzywdę dziecku! - tłumaczyli.

Jak opowiada jeden z ówczesnych przyjaciół artystki, Darek był zaskoczony. Nie było go wtedy w Warszawie i prawdopodobnie o niczym nie wiedział.

Zdjęcie zniknęło z sieci po czterech dniach razem z całą stroną internetową gwiazdy. Mimo zapewnień, że nie będzie czytała prasy i oglądała telewizji, piosenkarka nadal się w niej wypowiadała. Niedługo potem Edytę Górniak opuściła jej menadżerka Ewa Galin oraz Grzegorz Jabłoński, kierownik muzyczny jej zespołu. Gdy ten ostatni poinformował piosenkarkę o swej decyzji, ta urządziła mu scenę.

- W tej sytuacji ja ciebie wyrzucam - krzychała na całą restaurację w Krakowie, gdzie się spotkali.

Wiele wskazuje na to, że już wkrótce Edyta znowu zawita na pierwsze strony gazet. Powodem może być planowany na 2005 r. ślub z Dariuszem Krupą. Artystka starannie przygotowuje się do tego wydarzenia.

Suknię ślubną zamówiła już w listopadzie 2004 roku, problem w tym, że w tej chwili jest ona na piosenkarkę o kilka numerów za mała. Aby wrócić do poprzedniej formy i świetnej figury, od jakiegoś czasu Edyta intensywnie ćwiczy.

Roztrwoniła fortunę

Miała kilka kont w Polsce i za granicą. Tylko pierwsza płyta przyniosła jej prawie pół miliona dolarów. Mimo to, choć trudno w to uwierzyć, dziś Edyta Górniak nie ma prawie żadnych oszczędności. Ani własnego mieszkania.

Już grając w musicalu „Metro” zarabiała zdecydowanie lepiej, niż inni. Więcej od niej - tylko Katarzyna Groniec. Jednak wtedy niewiele zaoszczędziła, bo większość pieniędzy wysyłała mamie. Prawdziwa fortuna zaczęła jednak spływać do kieszeni artystki po wydaniu debiutanckiego albumu „Dotyk”, który sprzedał się w ponad 400 tysiącach egzemplarzy. Według obliczeń menedżera, Górniak zarobiła na nim prawie 400 tysięcy dolarów.

Oprócz procentu ze sprzedanych płyt, duże zyski przynosiły piosenkarcce koncerty, zwłaszcza te zamknięte, organizowane przez prywatne firmy. W dodatku, na początku swej kariery piosenkarka nie miała wielkich wydatków. Większość czasu spędzała w Londynie, gdzie dużą część jej potrzeb finansował menedżer Wiktor Kubiak. Opłacał jej mieszkanie. Wysyłał na wakacje. Kupował ubrania. Płacił za kosmetyczkę i salon odnowy biologicznej. Wykładał pieniądze na naukę angielskiego.

To, co zarobiła, Edyta wydawała głównie w Polsce. Do niej należało opłacenie przelotów z Londynu oraz wynajęcie skromnego mieszkania w Warszawie. Jadała głównie na mieście. Często chodziła do salonu kosmetycznego na rogu ulic Dąbrowskiego i Puławskiej na Mokotowie. Uwielbiała też korzystać z odnowy biologicznej. O paznokcie dbała w salonie w domu handlowym City Center w pobliżu Dworca Centralnego. Ale nawet w Polsce Kubiak wynajmował jej kierowcę i płacił za auto.

- Wiciaku, co mam robić z pieniędzmi? - zapytała go kiedyś Edyta.

- Kupuj ziemię, nieruchomości, bo inaczej wszystko wydasz. Znajdź jakiś dom, który ci się podoba, i go

kup - przekonywał ją Kubiak.

Wtedy Górniak rzeczywiście kupiła jakiś dom, jednak szybko się go pozbyła.

- Ciągłe latam po świecie. Kto będzie zbierał kurz z moich szafek - uzasadniała swą decyzję.

Potem jeszcze wiele innych osób radziło jej, by kupiła sobie w stolicy chociażby jakieś mieszkanie. Ale Edyta zrezygnowała nawet z jego wynajmowania. Wolała płacić za apartament w części „tower” hotelu Sheraton, choć czasem pobyt w nim trwał nawet siedem dni. W hotelu opłacała też kamerdynera, co kosztowało ją w sumie kilkanaście tysięcy złotych tygodniowo. Jednak tamtejsze warunki bardzo jej imponowały. Chodziła na różne zabiegi, masaże. Chwaliła sobie, że jest dobrze traktowana.

Nieprawdopodobne pieniądze szły też na ciuchy. Tym bardziej, że Edyta rzadko sprawdza, ile co kosztuje. Za jednym razem w sklepie potrafi zostawić kilkanaście tysięcy złotych. Ubrania kupuje jednak zwykle za granicą.

Jak twierdzi jeden z przyjaciół artystki, Górniak nigdy nie wie, na co ile wydaje. Kiedyś, po jej powrocie ze Stanów przyszedł wyciąg z banku. Okazało się, że w dwa tygodnie wydała kilkanaście tysięcy dolarów!

- Pewnie jeden z kelnerów spisał numer mojej karty kredytowej i mnie okradł - tłumaczyła.

Inny znajomy piosenkarki wspomina, jak po jej torebce i kieszeniach walały się pogniecione dwustuzłotowe banknoty. Kiedyś, przed świętami Bożego Narodzenia wracali z jakiegoś koncertu w Rzeszowie. Był już wieczór, w dodatku straszna śnieżycą. Edyta zauważyła starszą kobietę ciągnącą drzewo na sankach.

- Zwolnij - poprosiła kierowcę.

Po czym otworzyła okno i, nic nie mówiąc, wręczyła staruszce 200 złotych.

Edyta słynie z podobnych gestów. Gdy jest w świetnym nastroju, uwielbia obdarowywać swoich znajomych i bliskich. Nie oszczędza na niczym. Szczególnie lubi robić prezenty dla dzieci swoich przyjaciół.

W 1999 roku Edyta Górniak postanowiła wreszcie kupić mieszkanie. Wybrała sobie jednak nie Polskę, lecz Portugalię. Była wtedy w tym kraju niezwykle popularna. Zwłaszcza po tym, jak jedna z jej piosenek została wykorzystana w serialu. W kupnie mieszkania pomagał jej Paolo, prezes portugalskiego EMI. Wybór padł na zamknięte osiedle niskich budynków położone pół godziny drogi od centrum Lizbony. Blisko oceanu, z widokiem na jezioro o krystalicznie czystej wodzie oraz pola golfowe. Trzypokojowy apartament miał 80 metrów. Na parterze. Wszystko wykończono w tonacji letniej. Choć przelot z Warszawy do Portugalii jest bardzo drogi, Edyta często zapraszała do siebie swoich znajomych.

W ten sposób piosenkarka w dość szybkim tempie pozbyła się swojej fortuny. W końcu wpadła w poważne tarapaty finansowe. Rzadziej koncertowała. O ile w 2000 roku na występach zarobiła około 400 tys. zł, rok później cztery razy mniej. W końcu nie stać jej było na bilety do Portugalii, mimo że zagrała w kilku dochodowych reklamach. Raz reklamowała mydło, innym razem towarzystwo ubezpieczeniowe, potem użyczyła swojego głosu w reklamie kawy. Koło nosa przeszła jej reklama rajstop. Właściwie kontrakt był już prawie podpisany, ale po wykonaniu przez Edytę hymnu w Korei, zleceniodawca z niej zrezygnował i zaproponował pracę Justynie Steczkowskiej. Ostatnio Górniak reklamowała wodę mineralną.

Mimo wszystko, w Polsce Górniak od lat należy do grupy artystów najlepiej opłacanych. W najlepszym dla niej okresie za zamknięty koncert organizator musiał zapłacić nawet 70 tysięcy zł. W 2001 r. za sylwestrowy występ piosenkarki trzeba było zapłacić 60 tysięcy złotych. Do tego, oczywiście, koszt apartamentu dla gwiazdy, hotele dla jej ekipy, transport sprzętu, opłacenie osobistego ochroniarza, a czasami nawet przelot Edyty z Londynu do Warszawy i z powrotem. Koncertami Górniak zainteresowane były także partie polityczne. W 2000 roku piosenkarka wystąpiła na Torwarze podczas Krajowej Konwencji Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Za zaśpiewanie pięciu utworów, Sojusz zapłacił jej ponad 50 tysięcy zł.

Przed każdym koncertem organizatorzy negocjują cenę, więc rozpiętość kwot jest spora. Na przykład za jeden występów na Pomorzu w 2002 roku piosenkarka wzięła prawie 70 tys. zł, za następny w stolicy już

tylko 40 tysięcy. Rok później, na opolskim festiwalu, za wykonanie dwóch utworów Telewizja Polska zapłaciła jej 20 tysięcy złotych. Tyle samo w 2000 r. musieli Edycie dać Janusz Józefowicz i Janusz Stokłosa za występ w tysięcznym, jubileuszowym przedstawieniu „Metra”. Za wykonanie kilku utworów podczas otwarcia centrum handlowego na Śląsku artystka otrzymała 40 tysięcy. Z kolei za udział w pokazie mody i jedno wyjście na wybieg Edyta otrzymywała ponad 4 tysiące złotych. Górniak dwukrotnie śpiewała też piosenkę do filmów animowanych Walta Disneya. Otrzymała za to 8 i 10 tysięcy dolarów. W przypadku filmu „Pocahontas” negocjacje płacowe trwały ponad pół roku.

Edyta Górniak chętnie występuje charytatywnie. I choć za koncert z Jose Carrerasem honorarium otrzymała, to w 1997 r. roku zupełnie bezinteresownie podarowała jedną ze swoich piosenek na płytę, z której dochód przeznaczony był dla powodzian. Bez zastanowienia zgodziła się też całkowicie za darmo wystąpić w Kijowie podczas pomarańczowej rewolucji, choć byli artyści, którzy nie zgodzili się wyjechać w obawie o swoje bezpieczeństwo.

W branży muzycznej krążą mity o wygórowanych żądaniach Edyty, które rzekomo stawia organizatorom swych koncertów. To w znacznej mierze mity. W rzeczywistości chodzi zwykle o czyste szklanki w garderobie, papierowe ręczniki, nowe mydło, soki czy wodę o temperaturze pokojowej. Wiadomo też, że Górniak chce mieć garderobę jak najbliżej sceny, mieszkać w hotelowym apartamencie o standardzie nie niższym niż trzy gwiazdki. Jeśli leci samolotem, organizator musi zapewnić jej bilet w klasie biznes. Należy też opłacić ochroniarza piosenkarki oraz garderobianą, która prasuje jej stroje.

Mimo wielu sukcesów i zawrotnej jak na polskie warunki kariery, Edyta Górniak się nie dorobiła. Nie ma samochodu ani mieszkania. W tej chwili mieszka w skromnej willi w Milanówku, ale należy ona do ojca jej partnera. Jest na utrzymaniu Darka i jeśli wkrótce nie nagra nitowej płyty, nie będzie koncertować i zdobywać intratnych kontraktów reklamowych, tak już może zostać.

Pomarańczowy powrót

Takiego powrotu na scenę nie miał żaden inny polski wokalista. Siódmego dnia pomarańczowej rewolucji na Ukrainie Edyta Górniak wystąpiła na kijowskim Majdanie. Niektórzy artyści, w obawie o swoje życie, odmawiali. Piosenkarka nawet nie wiedziała, że znalazła się w rzeczywistym niebezpieczeństwie: w tym samym dniu ukraińskie MSW planowało masakrę w miejscu jej koncertu.

Na pomysł zorganizowania występu wspierającego pomarańczową rewolucję wpadłem 26 listopada 2004 r. Koncert miał się odbyć na kijowskim Placu Niepodległości, gdzie dziesiątki tysięcy Ukraińców od prawie tygodnia domagały się uznania zwycięstwa w wyborach prezydenckich Wiktora Juszczenki. Na Ukrainę jeździł z mediacjami Aleksander Kwaśniewski, kilka dni wcześniej na wiecu przemawiał Lech Wałęsa. Pomyślałem, że skoro tamtejszą demokrację wspierają polscy politycy, mogliby też to zrobić nasi artyści. Pomysł wydawał się dość szalony. Po pierwsze, w Kijowie ciągle mówiło się o groźbie brutalnego zdławienia manifestacji przez wojsko i milicję. Po drugie, nie miałem żadnych kontaktów z przywódcami rewolucji.

To ostatnie udało mi się jednak nadrobić dzięki znajomości z byłym wicepremierem Januszem Tomaszewskim, który wtedy doradzał sztabowi wyborczemu Juszczenki. Polityk odniósł się do mojego pomysłu entuzjastycznie. Obiecał pomoc. Pojawił się jednak problem znalezienia artystów, którzy zgodziliby się wystąpić w nietypowych warunkach wyłącznie w imię solidarności z Ukrainą. Kilku odmówiło.

- Pomysł jest fajny, ale trochę się boję. W każdej chwili może tam przecież dojść do masakry - tłumaczyli. Edyta zgodziła się od razu. Oprócz niej, na Ukrainę polecili też Paweł Kukiz oraz legendarny zespół Perfect. Koncert zorganizowaliśmy w 36 godzin!

W niedzielę 28 listopada na warszawskim Okęciu Górniak pojawiła się w towarzystwie muzyków i makijażystki. Wszyscy w świetnych humorach.

- Wam to dobrze. Jak nas stamtąd nie wypuszczą to przynajmniej jesteście razem - zażartował Kukiz do

Edyty i Darka Krupy.

- Nie przejmuj się. Jak poprosisz Darka, to może ci mnie pożyczy - wypaliła zalotnie Górniak.
- Nie pożyczę, ale mogę spróbować załatwić ci coś na miejscu - odparował nieco zmieszany Krupa.
Po uproszczonej odprawie granicznej, wszyscy znaleźliśmy się w małym samolocie ATR-72. Górniak usiadła z przodu i od początku próbowała zabawić towarzystwo. Długo odgrywała „balet” stewardessy, pokazując wyjścia ewakuacyjne i objaśniając, jak należy się zachować w niebezpieczeństwie. Aktorski pokaz kontynuowała w autokarze w drodze z kijowskiego lotniska do centrum miasta. Odbierając kierowcy mikrofon, zaczęła śpiewać ułożoną przez jednego ze swoich fanów piosenkę na melodię przeboju, którym kiedyś podbiła publiczność Eurowizji. Tym razem tekst mówił jednak o jej rzekomej ciąży:

*„Rano zjadłam pączka
W mediach już gorączka...”*

I potem, zwracając się już bezpośrednio do obecnego dziennikarza Zetki:

*„To nie ja jestem w ciąży
Czemu plotka ta krąży?
Kto wymyślił ten bzdet
Radio Zet
Radio Zet!”*

Widząc zakłopotanie reportera, Edyta próbowała „łagodzić” sytuację:

- Niech pan nie bierze tego do głowy! Ani gdzie indziej... - wypaliła, a cały autokar wybuchnął salwą śmiechu.

Mimo protestów Krupy, Górniak kontynuowała swoje popisy. Zaczęła opowiadać dowcipy.

- Znam tylko sprośne - zapowiedziała, wywołując wyraźne zakłopotanie swego partnera.

- Kochanie, odłóż już ten mikrofon - stanowczo zwrócił się do niej Krupa, widząc, że czterdziestoosobowa ekipa śmieje się nie ryle z żartów Edyty, ile z niej samej.

Na miejscu przedstawiciele sztabu wyborczego Juszczenki zapewnili nam całkiem dobre, jak na rewolucyjne okoliczności, warunki. Edyta jako jedyna dostała nawet oddzielny pokój z prysznicem i ciepłą wodą. Nawet nie przeczuwała, że w chwili, kiedy odpoczywała po podróży, ważyły się nie tylko losy jej koncertu, ale też całej pomarańczowej rewolucji.

Tego dnia na kijowskim Majdanie było kilkaset tysięcy ludzi. Atmosfera przypominała polityczny piknik.

Co jakiś czas ze sceny przemawiali politycy, a w przerwach między ich występami śpiewali artyści.-Ci ostatni musieli się jednak całkowicie podporządkować zmieniającej się sytuacji politycznej.

Polacy mieli wejść na scenę około godz. 18. Jednak kiedy dwie godziny wcześniej poszedłem na Majdan, organizatorzy stwierdzili, że występu prawdopodobnie nie będzie. W związku z zaognieniem sytuacji, Wiktor Juszczenko wezwał wszystkich manifestantów, by udali się z placu pod siedzibę Centralnej Komisji Wyborczej. Każdy, kto występowałby w takim momencie na scenie, zatrzymywałby ludzi na placu, co nie było po myśli przywódców wiecu.

Wizja powiadomienia polskich artystów o tym, że przyjechali na Ukrainę na darmo i że w ogóle nie wystąpią, była przerażająca. Na szczęście, po godzinie nerwówki, udało się. Polacy wystąpią, ale muszą być punktualnie o 18 na scenie. Będą mieli zaledwie 10 minut na rozstawienie sprzętu.

O 17.10 wróciłem do miejsca naszego zakwaterowania i poprosiłem, żeby wszyscy byli gotowi do wyjazdu dokładnie za 20 minut. Każde spóźnienie groziło, że cały nasz wysiłek pójdzie na marne.

- My nie zdążymy tak szybko. Edyta jest totalnie rozwalona - powiadomił mnie Darek Krupa, oświadczył, że potrzebują co najmniej dwa razy więcej czasu.

Czekanie na piosenkarkę wywołało wśród innych muzyków sporą irytację. W końcu wszyscy odjechali bez niej, a na potrzeby Edyty udało się załatwić specjalną luksusową limuzynę z milicyjnym kogutem. Dzięki niemu mogła podjechać pod samą scenę i nie tracić piętnastu minut na dojazd z parkingu.

Mimo to, piosenkarka nie przybywała. Kwadrans po 18 zaczęliśmy wydzwaniać do Darka Krupy na komórkę, ale nie odbierał. Zęby ratować polski występ, zdecydowaliśmy zaczynać bez Górniak. Na całe szczęście, bo piosenkarka pojawiła się całe pół godziny po czasie!

- Nie mogłam być wcześniej, bo miałam łączenie na żywo z „Teleekspressem” - oznajmiła z rozbrajającą beztroską.

Jej koncert wypadł jednak świetnie. Publiczność była zachwycona, tym bardziej, że między piosenkami Edyta mówiła o wolności i demokracji.

Ciepłe przyjęcie sprawiło, że mimo przejmującego zimna, artystka miała świetny humor. Na lotnisku, w trakcie odprawy paszportowej, ze słuchawkami na uszach ćwiczyła choreografię do jakiegoś utworu, wprowadzając w osłupienie ukraińskich urzędników, przyzwyczajonych do tego, że ludzi w mundurze wszyscy się raczej boją.

Tymczasem po kilku tygodniach amerykańska prasa doniosła, że właśnie 28 listopada Ukraina znalazła się o krok od rozlewu krwi. „New York Times” ujawnił, że w dniu koncertu Górniak, w kierunku kijowskiego Majdanu jechało 10 tys. żołnierzy MSW, którzy mieli dokonać na placu masakry. Tragedii uniknięto tylko dlatego, że na stronę opozycji przeszły służby specjalne!

Koncert podczas pomarańczowej rewolucji był pierwszym publicznym występem Edyty po tym, jak w lipcu zapowiedziała zakończenie swojej kariery. Tydzień później w wywiadzie dla tygodnika „Wprost” artystka potwierdziła, że wraca na scenę.

- Nie mam wyjścia. Mój ukochany twierdzi, że jak tego nie zrobię, będę musiała sprzątać w domu i wynosić śmieci - oświadczyła we właściwy sobie sposób.

W tym samym wywiadzie przeprosiła dziennikarzy twierdząc, że jej wulgarny list był kierowany nie do wszystkich mediów, ale wyłącznie do dwóch redakcji, które ją krzywdziły. Przeprosiny te powtarzała jeszcze wielokrotnie, m.in., w programie Kuby Wojewódzkiego, w wywiadach dla „Życia Warszawy” i „Gali”.

Z myślą o powrocie na scenę, założyła firmę producencką i wydawniczą „E.G. Production”. A dwa miesiące później zaprezentowała swój nowy utwór „Lunatique”, zapowiadający nową płytę. Podobno ma być ona utrzymana w stylistyce chilloutowej. Patronat nad singlem objęła telewizja Polsat i tygodnik „Gala”.

Nie wiadomo jednak, jak tak radykalna zmiana stylistyki zostanie przyjęta przez fanów. Czy taki krążek ma szansę się sprzedać i czy Edyta poradzi sobie w nowym repertuarze? Tym bardziej, że już w tej chwili zainteresowanie jej występami jest niewielkie. Największą przeszkodą w rozwoju dalszej kariery artystki może się jednak okazać... Wiktor Kubiak. Kontrakt, który Edyta z nim podpisała, praktycznie kompletnie wiąże jej ręce. Jeśli Kubiak się nie zgodzi, nowa płyta po prostu nie ujrzy światła dziennego.

Nic dziwnego, że Edyta od lat narzeka na warunki umowy z Wiktorem Kubiakiem.

- To morderczy kontrakt - skarżyła się swojemu przyjacielowi.

Faktycznie Górniak ma w kontrakcie zagwarantowane jedynie 7 procent zysku od sprzedanych płyt. W Polsce artyści startują od kilkunastu procent. Według Kubiaka kontrakt jest fair. Gdyby Edyta sprzedała tyle płyt, ile sama zakładała, zarabiałaby więcej niż Beatlesi i Elvis Presley.

Jeszcze przed premierą „Lunatique” prawnik Wiktora Kubiaka skontaktował się z adwokatem Górniak. Poinformował, że w świetle podpisanego kontraktu, Edyta nie może niczego wydać bez jego akceptacji. Przedstawiciel piosenkarki odpowiedział jednak, że dysponuje interpretacją umowy sporządzoną przez brytyjskiego adwokata, według którego jest ona nieważna. W tej sytuacji, Kubiak zlecił swemu adwokatowi wysłanie oficjalnego pisma, w którym ostrzega Górniak, że użyje wszelkich środków, by płyta nie trafiła do sklepów. Zaznacza też, że wszelkie kwestie prawne muszą być rozstrzygane przed brytyjskim sądem, bo tak stanowi podpisany przez piosenkarkę dokument. Zaniepokojone poczynaniami

Edyty jest też szefostwo Pomatonu. Choć piosenkarka twierdzi, że zerwała kontrakt z wytwórnią, to mija się z prawdą. Górniak nigdy nie miała kontraktu z Pomatonem. Do dziś ma go Wiktor Kubiak. Żeby skutecznie zerwać kontrakt z Kubiakiem, piosenkarka będzie musiała zainwestować sporo pieniędzy na adwokatów i procesy w Anglii. Wiadomo, że ostatnio pieniędzy za wiele nie ma. Wiktor Kubiak raczej też nie popuści. Prawdopodobnie będzie się starał, by zapowiadana płyta piosenkarki nie ukazała się w sklepach. Może się zdarzyć, że sąd nakaże wstrzymanie dystrybuowania płyty. Gdyby tak się stało, Górniak znalazłaby się w takim samym potrzasku, jak dwie ogólnopolskie gazety, którym sąd zakazał niedawno publikacji na temat prywatnego życia artystki. Jedno jest pewne: Edyta z całą pewnością znowu powróci na czołówki gazet.

Kalendarium

1989

- Czerwiec. Wyróżnienie w koncercie „Debiutów” na opolskim festiwalu.

1991

- 31 stycznia. Premiera musicalu „Metro”

1992

- 16 kwietnia. Premiera „Metra” na Broadway

1993

Udział w festiwalu krajów nadbałtyckich w Karlshamn

1994

- 30 kwietnia. Występ na festiwalu eurowizji w Dublinie
- Czerwiec. Podczas opolskiego festiwalu Edyta Górniak otrzymuje nagrodę im. Karola Musiała za indywidualność wykonawczą

1995

- Hamburg, promocja singla „Edyta” z piosenką „To nie ja” w wersji polskiej i angielskiej.
- 8 maja. Premiera płyty „Dotyk”
- 28 grudnia. Pożegnalny koncert w Warszawie i zapowiedź przerwy w karierze

1996

- 5 lutego. Premiera singla „Love is on the Line”
- 30 czerwca. Premiera piosenki „To Atlanta” podczas festiwalu w Opolu. Utwór był hymnem polskich sportowców jadących na olimpiadę.

1997

- 7 listopada. Światowa premiera pierwszego anglojęzycznego albumu „Edyta Górniak” w Japonii
- 10 listopada. Polska premiera albumu „Edyta Górniak”
- 22 grudnia. Charytatywny koncert Edyty Górniak i Jose Carrerasa

1998

- Artystka promuje swój anglojęzyczny album w Europie
- 16 marca. Zrywa kontrakt menedżerski z Wiktorem Kubiakiem. Kontrakt płytowy pozostaje

ważny.

- 27 czerwca. Edyta otrzymuje nagrodę dziennikarzy i fotoreporterów podczas festiwalu w Opolu

1999

- 25 września. Premiera albumu „Live ‘99” zarejestrowanego podczas trasy koncertowej

2000

- 30 maja. Edyta bierze udział w tysięcznym przedstawieniu „Metra”
- 11 czerwca. Piosenkarka występuje na kongresie SLD na warszawskim Torwarze
- 3 lipca. Początek trasy koncertowej słuchowiska „Romeo i Julia”

2002

- 9 marca. Premiera albumu „Perła”
- 18 marca. Słynny występ na gali Wiktorów, podczas którego piosenkarce odkleiły się przytrzymujące kreację plastry, a fotoreporterzy sfotografowali bieliznę artystki
- 4 czerwca. Edyta Górniak wykonuje polski hymn na mistrzostwach świata w piłce nożnej w Koreji

2003

- 22 lutego. Premiera albumu „Perła – edycja specjalna”
- 17 – 18 maja. Koncerty w Chicago
- 23 maja. Edyta otrzymuje tytuł Honorowej Obywatelki Ziębic

2004

- 27 marca, godzina 9:11. Piosenkarka urodziła długo oczekiwane dziecko, Allana Krupę
- 17 lipca. Na swojej stronie internetowej piosenkarka publikuje list do dziennikarzy, obraża się na nich i zapowiada, że kończy karierę
- 28 listopada. Występuje na kijowskim Placu Niepodległości podczas pomarańczowej rewolucji
- 6 grudnia. W Wywiadzie dla tygodnika „Wprost” zapowiada powrót na scenę

2005

- 13 marca. Premiera nowego utworu Edyty Górniak „Lunatique”. Cała płyta ma się ukazać latem.

Sprzedaż albumów Edyty Górniak

| | | |
|---------------|----------|-------------------------------|
| Dotyk | 400 tys. | |
| Live ‘99 | 30 tys. | |
| Edyta Górniak | 150 tys. | W Polsce |
| Edyta Górniak | 300 tys. | Świat |
| Perła | 70 tys. | Dwupłytowy, liczony podwójnie |
| Invisible | 12 tys. | Świat |

Fotografie



1993. Przed występem na Festiwalu Krajów Nadbałtyckich w Karlshamn. Edyta Górniak na kolanach Dariusza Kordka w towarzystwie Wiktora Kubiaka (pierwszy z lewej) i Elżbiety Zapendowskiej.

1994. Po nagraniu eurowizyjnej wersji piosenki „To nie ja” w londyńskiej restauracji artystka w towarzystwie Ali Borkowskiej i Jacka Cygana (z lewej), oraz Wiktora Kubiak i Stanisława Syrewicza (z prawej). Na talerzach specjalność zakładu – żeberka.



1994. Wspólne wakacje z menedżerem w Wenecji.



1994. Edyta Górniak gasi pragnienie przy jednej z ulicznych studzienek w Wenecji.



1994. Edyta Górniak na wakacjach w motorówce.



1994. Spotkanie z fanami po opolskim festiwalu.



1995. W brytyjskim salonie fryzjerskim Edyta Górniak pierwszy raz decyduje się obciąć swoje długie włosy.



Tuż przed występem w muzycznym klubie „Xenon” w Londynie. Raz w miesiącu zbierają się tu najważniejsi ludzie w brytyjskiej branży muzycznej i słuchają młodych talentów.



Po występie Edyta jak zwykle podbiła serca słuchaczy.



Piosenkarka podczas lunchu w brytyjskiej restauracji.



Lunch z przyjacielem i menedżerem Wiktorem Kubiakiem.



1996. Przerwa w nagraniach w brytyjskim studiu.



Kilkadziesiąt minut po koncercie wreszcie artystka może coś zjeść.



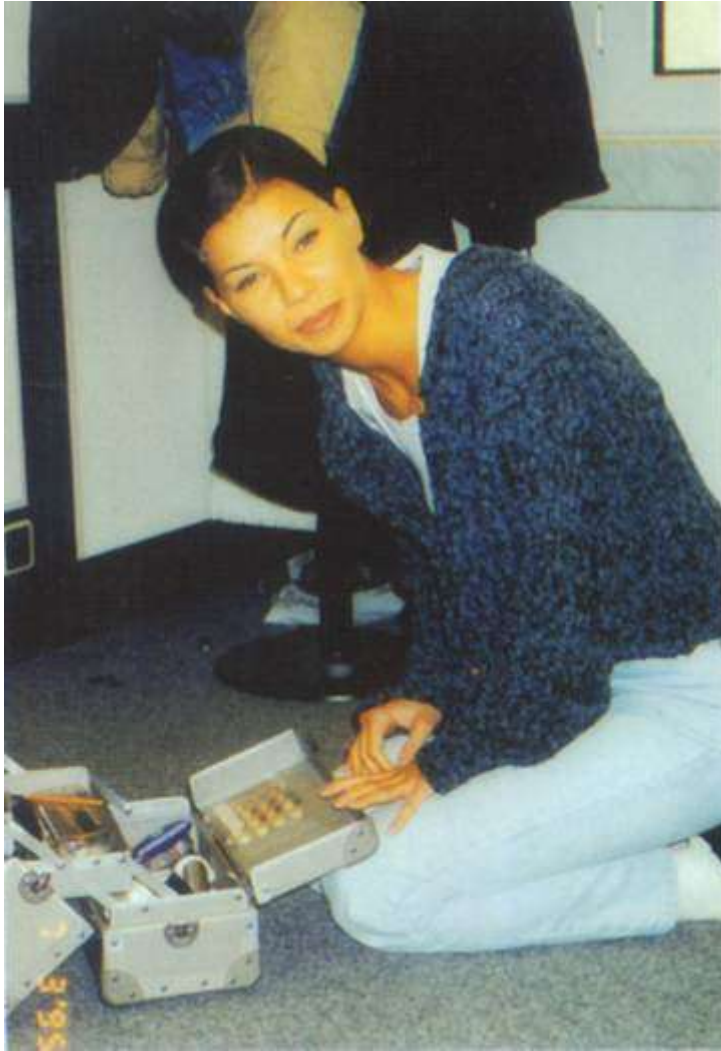
1997. Edyta Górniak w towarzystwie Artura Iwana, swojego agenta.



Na scenie podczas jednego z koncertów.



Chwila samotności przed koncertem.



Czym by się tutaj umalować?



1999. Artystka przygotowuje się do wyjścia na scenę.



I już na scenie.



1997. Piosenkarka podczas sesji fotograficznej w Wielkiej Brytanii.





1997. Piosenkarka podczas sesji fotograficznej w Wielkiej Brytanii.



Edyta Górniak je zupę przywiezioną przez fanów.



Tym razem to kisiel. Również od wielbicieli.



2001. Piosenkarka w trasie koncertowej widowiska „Romeo i Julia” zorganizowanego przez radio RMF FM.



Ostatnie przygotowania przed występem. Piosenkarka jak zwykle skoncentrowana.



Dariusz Krupa, narzeczony Edyty Górniak okłada fotoreportera, który chciał zrobić zdjęcie artystce. Do bójki doszło w telewizyjnym barku.





2003. Edyta Górniak podczas prób przed festiwalem TOP trendy w Operze Leśnej w Sopocie.



2003. Piosenkarka podczas koncertu na festiwalu TOP trendy w Operze Leśnej w Sopocie.



2004. Po krakowskim koncercie z narzeczoną Dariuszem Krupą podczas ucieczki przed obiektywami paparazzi.



Twierdza, w której mieszka Edyta Górniak.



A tak wyglądał ten dom jeszcze w 2003 roku.



Piosenkarka w nowej fryzurze.



2004. Edyta Górniak daje w Krakowie pierwszy koncert po urodzeniu synka.



2004. W innej kreacji podczas tego samego koncertu.



2004. Siódma rano, lotnisko „Okęcie”. Edyta Górniak przygotowana do odlotu na Ukrainę.



Na Placu Niepodległości w Kijowie Edytę oklaskiwało kilkaset tysięcy uczestników pomarańczowej rewolucji.



Piosenkarka tańczy na kijowskim lotnisku oczekując na odprawę.

Dodatki

Nie jestem polską patriotką

Edyta Górniak ujawnia Kulisom swoje nadnaturalne zdolności i... brak głębszych uczuć do ojczyzny
Z Edytą Górniak, gwiazdą polskiej piosenki, rozmawiają Piotr Ostrach i Marcin Szymaniak

PIOTR OSTRACH, MARCIN SZYMANIAK 2005-04-01

Spotykamy się w okresie Zmartwychwstania. Edyta Górniak też zmartwychwstała?

Mądre spostrzeżenie, ale nie mogę potwierdzić. Natychmiast mi zarzucają, że naśladuję Jennifer Lopez, która nagrała płytę „Rebirth” (Odrodzenie - przyp. red.)

Co tam Jennifer Lopez. Powiedzą, że Górniak się porównuje do Chrystusa!

(śmiech) No właśnie. Dlatego wolę mówić raczej o pozbieraniu się, zakończeniu kolejnego okresu w życiu, który na pewno nie należał do najmiłszych.

Z Twoich relacji wynika, że dzienniki „Fakt” i „SuperExpress” zamieniły Ci ostatni rok w koszmar, nasyłając paparazzich i brutalnie ingerując w prywatność. Jak myślisz, dlaczego tak się uwzięli właśnie na Ciebie i Twojego męża Darka?

Z prostego powodu -bo nie daliśmy im zarobić. Kiedy „Fakt” wchodził na rynek, dostałam od nich propozycję z gatunku tych nie do odrzucenia. Zaproponowali, żebym dobrowolnie dostarczała im informacje z mojego życia prywatnego i intymnego, oczywiście załączając zdjęcia. W zamian obiecali przychyłność wobec mojej osoby. Naturalnie odmówiłam. Skutki tej decyzji odczuwam do dziś.

To był z ich strony po prostu zwyczajny szantaż?

Dokładnie tak. A moja odmowa wywołała walkę, w której się pogubili i ztratili wszelkie hamulce. Przekroczyli granice nie tylko etyki dziennikarskiej, ale po prostu zwyczajnej ludzkiej przyzwoitości. Nie potrafili uszanować dosłownie niczego.

Nawet policja nic nie mogła zaradzić?

Policja była bardzo pomocna, ale nie przed wszystkim mogła nas uchronić. Wiecie -jak nie leci krew, trudno zdiagnozować czyjaś szkodliwość i czyjeś zagrożenie.

Aż dziwne, że ktoś z „Faktu” nie powiedział sobie w pewnym momencie: Jezu, co my robimy! Stop!

A właśnie że powiedział! Dostałam list od jednego z dziennikarzy „Faktu”, który oczywiście poprosił mnie o dyskrecję. W tym liście gorąco przeprosił mnie za wszystko, co przeczytałam i co przeczytałam w jego artykułach. Usprawiedliwiał się, że ma troje dzieci na utrzymaniu, a na rynku jest ciężko znaleźć pracę. By przeżyć i wykarmić rodzinę, musi wykonywać polecenia kierownictwa „Faktu” wbrew swoim zasadom i podejściu do życia.

Wybaczyłaś im?

Komu? Grzesiowi? (Grzegorz Jankowski, naczelny „Faktu” -red.) Nie. Tego, co spotkało moją rodzinę, chyba nigdy nie wybaczę. Pocięszam się tylko, że niektórych pracowników obu dzienników po wycięzonej pracy stać było na lepsze wakacje. Wiecie -wypoczynek dobrze robi każdemu. Może któryś z nich wyszlachetniał na przykład? Przede wszystkim mam nadzieję, że moi wrogowie porządnie sobie ulżyli i teraz będą „lepszymi ludźmi”.

Jeszcze przed tą całą historią czytaliśmy opinię pewnego prasoznawcy, że w Polsce nie ma prawdziwych paparazzi. Twój prześladowcy udowodnili, że jednak są...

W pewnym sensie tak. Ale gdyby popatrzeć na to z innej strony, to jednak ten pan miał rację. Bo mimo ogromnej nagonki naszym prześladowcom nie udało się zdobyć najmniejszego naszego zdjęcia. Jacy więc z nich paparazzi? Ciekawą postacią jest na przykład fotograf, którego spoliczkowałam. Strasznie się później tym chwalił. Wysłano go na mnie przypadkowo, a on zrobił dzięki temu karierę. Dotychczas był specjalistą od fotografowania bocianów, a teraz z niego paparazzi!

Kiedy rusza pierwsza rozprawa w procesie z „Faktem”?

Z „SuperExpressem” już się odbyła, czekamy natomiast na termin rozprawy z „Faktem”.

Co konkretnie zarzucacie gazecie?

Pozew liczy około 25 stron oskarżenia. Wytoczyliśmy dwa procesy cywilne i jeden karny.

W swoim słynnym liście internetowym nazwałaś dziennikarskich prześladowców „pierdolonymi szczurami”, dając im „w prezencie” zdjęcie swojego synka leżącego w kupie. Czy z perspektywy czasu nie sadzisz, że przegięłaś? Że to był niewłaściwy krok?

A czy to, co mnie spotkało, było właściwe? Nie znam osoby, która przyjmowałaby taką dawkę agresji tak spokojnie i tak długo, jak ja. Na 15 lat działalności artystycznej miałam tylko dwie wpadki: dobrałam złe garderobę na Galę Wiktorów i zaśpiewałam hymn nie tak, jak śpiewają kibice. Natomiast historii z listami nie zaliczam do wpadek, ponieważ były one adekwatne do języka i form walki, jakimi posługiwał się mój wróg. Mogę żałować jedynie, że nie wytrzymałam tego napięcia i że nie stałam się w życiu bardziej chłodną i wyrachowaną osobą. Wtedy z pewnością ich działania nie doprowadziłyby mnie do stanu ostateczności.

Ten list pisałaś na zimno czy w amoku?

Na zimno. Sama w nocy. Jego treść zawierała dużo silniejsze słowa niż te niecenzuralne. List niósł o wiele głębszą treść niż tylko mój gniew. Ale oczywiście media tendencyjnie cytowały te same trzy fragmenty listu, spływając jego istotę. Ten list to był mój rozpaczliwy krzyk, prawdopodobnie forma prośby o pomoc.

A to zdjęcie Allana, które poszło w świat? Nie boisz się, że syn będzie miał o to żal, gdy dorośnie?

Allan wychowywany jest w domu pełnym radości i humoru. Myślę, że gdy dorośnie, będzie się z tego śmiał. Chyba że się wkurzy i za wszystkie przepłakane noce swojej matki znajdzie starego pana Grzesia i zwyczajnie da mu w łeb. Mam nadzieję, że porządnie.

Czy zaskoczyła Cię reakcja Kayah, która w tych ciężkich chwilach stanęła po Twojej stronie mimo wcześniejszych animozji?

Kayah wysłała mi bardzo życzliwego SMS-a. Ona jest taką osobą, która po prostu czasami nie lubi kobiet, o swojej niechęci do mnie powtarzała chyba w każdym wywiadzie. Byłam więc totalnie zaskoczona, gdy dostałam od niej tę wiadomość. Napisała, że nie pozwoli mi odejść, że to byłby „gwałt na prawdziwym talencie”. Myślę, że po prostu odezwała się w niej matka.

A kto Cię najbardziej zawiódł w tym okresie?

Najbardziej zawiódłam siebie samą. Dlatego że pozwoliłam obcym ludziom zdominować tak ważny okres mojego życia, że nie potrafiłam temu zaradzić. Nie to było najgorsze, że przechodzili nam przez płot, ale to, że byli w stanie zapanować nad naszą świadomością. Obcy ludzie po prostu zamieszkali w naszym domu, bo moja psychika, niestety, na to pozwoliła.

A inni ludzie. Do kogo masz największy żal?

Przyjaźniłam się bardzo długo z pewną parą gejowską, która potem umiejętnie mnie okradła. Dość bolesne przeżycie dodatkowe, zwłaszcza w tamtym czasie. Ale z pewnością też pouczające.

W okresie medialnej nagonki przywaliłaś fotoreporterowi, wcześniej oblałaś wódką Roberta Leszczyńskiego. Nie sądzisz, że masz problem z panowaniem nad swymi emocjami?

(śmiech) Nie, choć rzeczywiście może to tak wyglądać. W istocie jestem osobą dość opanowaną. Nauczyłam się tego, między innymi mieszkając 8 lat w sąsiedztwie z Anglikami. Gdybym na wszystkie sytuacje reagowała emocjonalnie, chyba bym oszalała.

Na wszystkich dziennikarzy, którzy ze mną rozmawiali, jednego oblałam wódką, a drugiego spoliczkowałam. Może powinnam była to robić częściej, wtedy nikt by tego nie zauważył. A tak te dwa przypadki świecą jak brylant.

Masz pretensje do gazet, że zatruiły Ci życie, a tymczasem sama wykorzystujesz media do ataków na Twoich byłych facetów. Ostatnio w telewizji na dźwięk nazwiska Gembarowski pokazałaś, że Ci niedobrze. Chyba zdajesz sobie sprawę, że to dla niego nie jest przyjemne?

Odruch bezwarunkowy. Jak się zatrujesz, źle reagujesz nawet na zapach. Myślę, że dobrze zrobiłam, mówiąc o niektórych moich doświadczeniach, bo z pewnością ostrzegłam wiele kobiet. Zwróćcie też uwagę na jedną rzecz. Nigdy nie poruszałam w wywiadach rzeczywiście intymnych szczegółów, jak niektórzy mi zarzucają, choć nie potrafią podać konkretnego przykładu. Dokładnie tak samo, jak mówiono kiedyś, że jestem kapryśna. Ale gdy pytałam: „O jakim moim kaprysie Pani słyszała?”, zapadała cisza. Dlaczego? Bo są to bezmyślnie powtarzane historyjki zasłyszane na bankietach.

W końcu udało Ci się wyjść z wielkiej medialnej nagonki. Podobno pomogły Ci w tym zdolności ponadnaturalne, które posiadasz...

Tym razem nie. Żeby dobrze odczytywać kody energetyczne, trzeba być bardzo czystym energetycznie, a ja taka nie byłam przez długi okres czasu. Miałam śmietnik w głowie i w sercu, więc nie mogłam siebie ochronić. Nawet jeśli ktoś wysyłał mi pozytywną energię, to ona odbijała się ode mnie i wracała z powrotem. Za to negatywną energią ludzi dosłownie przesiąkałam.

Brzmi to bardzo ezoterycznie. Jaka to dziedzina wiedzy tajemnej?

Nie chciałam tego wyjaśniać, bo gdy raz usiłowałam to zrobić, powstały spore nieporozumienia. Kiedyś na przykład myślałam, że rozumie mnie redaktor Najsztub, bo jako jeden z nielicznych wysłuchał mojej historii do końca. Chociaż po jego ostatnich komentarzach na mój temat widzę, że czasem mądrość ludzka gubi się w ilości kompleksów. O dziwo, pan Najsztub ma też dobre dni, wtedy na przykład wysyła mi kwiaty do domu. Zupełnie nie rozumiem dlaczego, może dręczą go jakieś wyrzuty sumienia? A mówi się, że to kobiety pokrętnymi istotami są... Tak czy inaczej poruszony kilka lat temu temat ezoteryki schowałam do szuflady.

Oj, nie daj się przekonywać! Jeżeli raz nie wyszło, to nie znaczy, że nie uda się za drugim razem.

Dobrze. Mówiąc najogólniej, wszyscy i wszystko, co istnieje we wszechświecie, zbudowane jest z cząsteczek energii, które nieustannie krążą i wysyłają smugi energetyczne. Niektórzy ludzie tworzą wiązki promieni, które działają leczniczo i o takich ludziach mówi się -bioenergoterapeuci. A inni przez takie wiązki potrafią przenosić lub przesyłać choroby. Nie wiem, jak się o nich mówi, ale ja ich nazywam bardzo brzydko. Ja również miewam momenty, kiedy potrafię przewidzieć różne sytuacje na chwilę lub na kilka dni przed ich zdarzeniem. Potrafię również przybliżyć sobie twarz osoby, która wysyła w moją stronę bardzo intensywne strumienie energetyczne.

Naczelnny „Faktu” Grzegorz Jankowski wysyła takie negatywne strumienie?

Świadomie nie, on akurat jest bardzo zagubioną osobą. I nieszczęśliwą, co nie znaczy nieszkodliwą. Nadchodzi dla niego czas wyrównania energetycznego; strumienie negatywne zawsze wracają do nadawcy. We wszechświecie ponoć istnieje pewna zasada. Otóż pozytywna energia wraca do nadawcy w trójnasób, a negatywna w natężeniu aż siedmiokrotnym. A przed tak silnym powrotem energii trudno się obronić.

Czy wykorzystujesz jakoś w życiu swoją zdolność przewidywania zdarzeń?

Nie było sytuacji, gdy udało mi się uchronić kogoś przed śmiercią, ale przed różnymi wypadkami na ulicy owszem. Właściwie codziennie mam przewidzenia dotyczące życia moich przyjaciół, na przykład ich relacji w związkach. Natomiast co do siebie samej, to raczej są to drobne rzeczy. Po przebudzeniu na przykład widzę, jak się ułoży cały dzień. I choć mam zaplanowany kalendarz, to się do niego nie przywiązuję, bo wiem na przykład, że ktoś nie przyjedzie na spotkanie, bo coś go zatrzyma. I już wtedy inaczej ustawiam sobie plan dnia, zanim jeszcze dostanę telefon, że zaszła zmiana. Takie drobnostki.

O ty, Karol! Myślisz, że te zdolności wiążą się z Twoim cygańskim pochodzeniem ze strony ojca?

Jest to prawdopodobne. Długo broniłam się przed tym i nawet myślałam, że to jest jakaś choroba. Ale potem trochę sobie poczytałam na ten temat i zrozumiałam, że może to być bardzo przydatne i niekoniecznie należy z tym walczyć.

W pewnym momencie kariery piosenkarskiej zaczęłaś się przebijać również za granicą, aż tu nagle wszystko przysło. Jak myślisz, dlaczego tak się stało?

Myślę, że głównie z dwóch powodów. Gdy piosenka „Impossible” była na siódmym miejscu międzynarodowej listy przebojów, gruchnęła plotka o moim romansie z prezydentem Kwaśniewskim. Korespondenci zagraniczni, niestety, rozesłali te wieści w świat. Ten temat zdominował kierowane do mnie inne pytania, tak więc w sekundę przestałam być poważną artystką. Poza tym nie mogłam dogadać się z wytwórnią, która namawiała mnie na odważniejszy negliż w wideoklipach. Nie sprzedam siebie tylko po to, żeby ktoś mógł powiedzieć: „Ona jest nasza”.

A jak to naprawdę było z tym romanssem? Nie podrywał Cię Kwaśniewski w czasie pamiętnego lotu do Korei?

Chyba nie byłam w jego guście (śmiej). Ale poza tym był bardzo miły, spokojny i ciągle otoczony ludźmi. W każdym razie nie było tam nawet okazji do podrywu.

Myślisz, że ktoś celowo rozpuszczał tę plotkę? Na przykład niechętna Kwaśniewskiemu prawica?

Nie jestem pewna. Podobno polityczni przeciwnicy chcieli nieco pobrudzić bardzo dobrą wtedy opinię naszego prezydenta. Ale dowiedziałam się również, że i ja mam zapiekłego wroga, który nie śpi po nocach, wymyślając sposoby, jak tu mi życie uprzykrzyć. Chwali się, że mnie zniszczy i niewykluczone, że w środowisku swoich kolegów dziennikarzy to on rozpuszcza nieprzychylnie dla mnie pogłoski. Publicznie go nie ujawnię, ale po wywiadzie powiem wam który to (potwierdzamy -dowiedzieliśmy się, o kogo chodzi - red.). W każdym razie z tej historii z plotkami wyciągnęłam jedną nauczkę. Jeżeli kiedykolwiek podejmę próbę kontynuowania budowy swojej pozycji za granicą, to nie będę mówić, że jestem z Polski.

O rany, to znowu podpadniesz naszym nacjonalistom. Może Ty w ogóle nie jesteś patriotką?

Ostatni raz zdobyłam się na patriotyzm, gdy mimo wszelkich przeciwności zacisnęłam zęby i wyszłam na koreański stadion, by zaśpiewać hymn. Jakoś nikt nie wspomina, że śpiewałam z koreańską orkiestrą dętą, która nie mogła rozumieć mazurka. Nikt też nie pamięta, że pretensje zaczęły się dopiero po meczu. Trener naszej drużyny zaczął się wtedy tłumaczyć, że drużyna dlatego rozegrała mecz po jednej stronie boiska, bo Górniak ich nie zachęcał do walki. A potem moje oficjalne przeprosiny podczas konferencji prasowej, których nikt nie wyemitował. Zamiast tego ukamienowano mnie słowami. Przyjęłam to z pokorą, ale wszystko to mnie wyleczyło z patriotyzmu. Nigdy już nie będę o sobie myślała, że jestem patriotką.

A uznajesz się w ogóle za Polkę?

Uznaję się za Europejkę. Mieszkałam już w tylu krajach, że nie czuję się tylko Polką.

Jakiej teraz najchętniej słuchasz muzyki?

Budzących się do życia ptaków.

A z ludzkich wykonawców? Powiedzmy z kręgu polskiej muzyki?

Najbardziej ceniałam Czesława Niemena. A z żyjących artystów? Reni Jusis i Grzesia Turnaua. Natomiast wśród debiutantów Sisters.

A lansowana w mediach Doda Elektroda Ci się nie podoba? W telewizji wycięli ostatnio fragment, gdy o niej mówiłaś...

Nie wycięli, tylko powiedziałam szeptem: „Doda -krowa”. Ona jest najlepszym przykładem na panującą obecnie w mediach tendencję dopisywania ideologii i charakterów osobom, które ich nie posiadają. Do głosu doszedł kompletny kicz, a z osoby, która przykleja sobie cekiny do silikonu i nie potrafi się nawet wystawić, na siłę robi się „kogoś”.

Występujesz teraz z nieznanym dotychczas zespołem Mathplanete. Jak ich poznałaś?

Przez Darka. Członkowie zespołu są znani w środowisku muzycznym, ale nie jako zespół.

Twoja nowa piosenka „Lunatique” jest w innych klimatach niż dotychczasowe utwory. Taka będzie cała nowa płyta?

Tak, zdecydowanie będzie chilloutowa (chill-out: nastrojowa, relaksująca muzyka elektroniczna -przyp. red.) Tyle gadania, żeby powiedzieć wreszcie coś o muzyce. „Lunatique” będzie miał swoją premierę komercyjną po świętach, a płytę planujemy wydać latem.

Edyta Górniak wygrała w sądzie

INTERIA.PL/PAP

Piątek, 7 kwietnia 2006 (06:34)

Warszawski sąd zakazał rozpowszechniania książki "Edyta Górniak: Bez cenzury". Stało się to na wniosek piosenkarki, która wytoczyła proces autorowi Piotrowi Krysiakowi, gdyż uznała, że naruszył on jej prywatność. Krysiak zaprzecza jej zarzutom. W tej sytuacji sąd dał stronom miesiąc na rozmowy o ewentualnej ugodzie.

W czwartek, 6 kwietnia, przed Sądem Okręgowym w Warszawie, zaczął się proces o ochronę dóbr osobistych, jaki 34-letnia Górniak wytoczyła Piotrowi Krysiakowi, autorowi książki na jej temat. W pozwie domaga się od sądu, by nakazał mu jej przeprosiny, zakazał dalszego rozpowszechniania publikacji i zasądził 20 tys. zł zadośćuczynienia na cel dobroczynny.

Jeszcze w 2005 r. sąd - na wniosek pełnomocnika piosenkarki - w trybie tzw. zabezpieczenia powództwa, zakazał rozpowszechniania książki. Sąd podzielił opinię adwokata, że nim zapadnie wyrok, książka może wyrządzić powódce "nieodwracalne szkody". Postanowienie to utrzymał Sąd Apelacyjny w Warszawie.

"Moja klientka nie życzy sobie rozpowszechniania książki w takiej formie, w jakiej jest obecnie. Jeśli pozwany napisze nową, bez fragmentów kwestionowanych przez powódkę, to ta sprawa by jej nie objęła" - mówił przed sądem pełnomocnik nieobecnej w sądzie Górniak, mec. Maciej Ślusarek.

Dodał, że Górniak nie wyraziła zgody na tę publikację. Jego zdaniem, nie można bez takiej zgody zajmować się życiem prywatnym także kogoś, kto ma status "gwiazdy".

"W tym przypadku prawo do prywatności jest mniejsze, ale przecież istnieje" - tłumaczył adwokat. Dodawał, że w książce prawie w ogóle nie ma mowy o jej piosenkach, wiele jest zaś "plotek i rzeczy wyspanych z palca".

Z kolei pełnomocnik nieobecnego Krysiaka, mec. Marek Gromelski, wnosił o oddalenie pozwu.

Argumentował, że jako osoba publiczna, która "sama publicznie sprzedaje swoją prywatność", powódka nie może domagać się ochrony sądu.

Na dowód dołączył do akt procesu zdjęcia piosenkarki ze styczniowego "Playboya", przeciw czemu protestował mec. Ślusarek.

"Jeśli stawia się zarzut, że w książce napisano o próbach samobójczych powódki, o czym ona sama wcześniej mówiła, to w takim razie o co jest cały ten proces?" - pytał retorycznie przed sądem mec. Gromelski.

Jego zdaniem, Górniak zaaprobowała książkę Krysiaka. Mec. Ślusarek polemizował z tym twierdząc, że książka porusza także takie "sprawy intymne", o których powódka wcześniej nie mówiła.

Pytany przez sąd o możliwość ugody, mec. Gromelski nie wykluczył jej, ale zwrócił uwagę, że proponowany w pozwie tekst przeprosin upokarza pozwanego.

"Moja klientka wyraża gotowość ugody" - oświadczył zaś mec. Ślusarek.

Sąd dał obu pełnomocnikom miesiąc na rozmowy w tej sprawie. Na rozprawie nie szczędzili oni sobie złośliwości. Sąd musiał ich mitygować.

Jeśli do ugody nie dojdzie, 11 lipca będą zeznawać świadkowie pozwanego. Sąd zobowiązał też pełnomocnika powódki do precyzyjnego wskazania, które fragmenty książki naruszają dobra piosenkarki.

"Cała książka je narusza" - mówił mec. Ślusarek.

"Tytuł i nazwisko autora też?" - ironizował mec. Gromelski. "Muszę wiedzieć, przed czym właściwie mam się bronić" - dodał.

Górniak wytoczyła kilka procesów mediom za naruszanie jej prywatności, poczucia bezpieczeństwa, czci i dobrego imienia.

W 2005 r. wygrała proces z "Super Expressem", któremu Sąd Okręgowy w Warszawie nakazał zapłatę 75 tys. zł za naruszenie dóbr osobistych Górniak i jej męża. Gazeta odwołuje się. Sąd Apelacyjny jeszcze nie wyznaczył terminu rozprawy.

Proces dotyczył publikacji w "SE" z 2004 r., kiedy Górniak była w szpitalu, gdzie urodziła syna.

Piosenkarka wielokrotnie podkreślała, że w trakcie ciąży była nękana przez media, a do szpitala, w którym rodziła, "wkradali się" fotoreporterzy. Z tych samych przyczyn piosenkarka pozwała dziennik "Fakt"; ten proces jeszcze się nie skończył.

Latem 2004 r. Górniak ogłosiła nawet koniec artystycznej kariery w związku z tamtymi wydarzeniami.

W opublikowanym liście nazwała dziennikarzy m.in. "szczurami, które mają krew na rękach".

INTERIA.PL/PAP

E. Górniak blokuje biografię

Czwartek, 9 czerwca 2005 (14:56)

Prawnicy Edyty Górniak próbowali zablokować dystrybucję nieautoryzowanej biografii piosenkarki autorstwa Piotra Krysiaka. Ich pismo nie odniosło jednak pożądanego skutku. "Jedynie prawomocny wyrok sądu może spowodować wycofanie danej książki ze sprzedaży" - powiedział rzecznik jednej z największych firm kolporterskich w kraju.

Wokalistka po zapoznaniu się z treścią biografii "Edyta Górniak. Bez cenzury" postanowiła działać przez swoich prawników i zablokować dystrybucję książki.

"Mieliśmy podstawy, aby stwierdzić, że w książce pana Krysiaka zostały naruszone dobra osobiste Edyty Górniak" - stwierdził Maciej Ślusarek, adwokat piosenkarki.

Wysłane do krajowych firm kolporterskich oficjalne pismo nie odniosło jednak spodziewanego skutku. Książka jest dostępna na rynku.

"Jedynie prawomocny wyrok sądu może spowodować wycofanie danej książki ze sprzedaży" - powiedział rzecznik jednej z największych firm kolporterskich w kraju.

"To, co robi Edyta Górniak, to wprowadzanie cenzury w najczystszej postaci. Najciekawsze, że pismo wysłała, zanim jeszcze mogła zapoznać się z moją książką" - dodał Piotr Krysiak, autor kontrowersyjnej biografii.

INTERIA.PL/Super Express

Górniak płacze w sądzie

Czwartek, 28 czerwca (10:34)

Jesteśmy coraz bardziej ciekawi, co zawierają materiały, którymi w ubiegłym roku dwaj mężczyźni szantażowali Edytę Górniak (34 l.). Z rozprawy sądowej piosenkarka wyszła roztrzęsiona.

Magazyn "Rewia" donosi, że Edyta wyszła z przesłuchania zapłakana i przerażona. Dariusz Krupa, mąż piosenkarki, musiał długo uspokajać ją na sądowym korytarzu.

"Kilka minut po 12. zapłakana i roztrzęsiona wyszła z sali" - pisze magazyn. "Ze szlochom rzuciła się w ramiona męża. Przez kilka minut siedzieli przytuleni na ławce na korytarzu".

Adwokaci szantażystów zamierzają złożyć wniosek o uniewinnienie swoich klientów. Krupa jest oburzony: "To jakiś żart? Po tym, co nam zrobili?".

To wszystko jest mocno podejrzone. Dlaczego oskarżeni czują się tak pewnie? I dlaczego Edyta tak bardzo przejmuje się całą sprawą? A ujawnienie "kompromitującego filmu z młodości" jest już chyba kwestią czasu...

Górniak w sądzie



Edyta Górniak i Dariusz Krupa - fot. Andrzej Zbraniecki /Agencja SE/East News

Czwartek, 21 czerwca (14:12)

W środę, 20 czerwca, Edyta Górniak wraz z mężem Dariuszem Krupą stawiała się w łódzkim sądzie, gdzie zeznawała na procesie szantażystów, którzy grozili wokalistce upublicznieniem pikantnego filmu z jej udziałem.

Świadkiem w tej sprawie jest też detektyw Krzysztof Rutkowski. Rozprawa została utajniona, więc sędzia wyprosiła dziennikarzy - czytamy w "Dzienniku Łódzkim".

Za zamkniętymi drzwiami Edyta Górniak zeznawała półtorej godziny. Gdy wyszła na krótką przerwę, padła w objęcia czekającego na korytarzu Dariusza Krupy. Według nieoficjalnych informacji, wokalistka powtórzyła wyjaśnienia złożone w prokuraturze.

"Musiałam wrócić pamięcią do wydarzeń, o których starałam się zapomnieć przez większość życia.

Doceniam, że oskarżeni nie zadawali żadnych pytań, mimo że mieli do tego prawo i w zasadzie jedynie spuszczały wzrok. Mam nadzieję, że kobiety w podobnej sytuacji już nie będą się bały i potrafią uwierzyć w siebie" - powiedziała Górniak po czterogodzinnej rozprawie.

Przypomnijmy, że na ławie oskarżonych siedzą 54-letni Marek K. i 49-letni Andrzej G. z Opolą. W marcu 2006 r. domagali się od Edyty Górniak i jej męża 170 tys. zł za zwrot zdjęć i kasety wideo o treści erotycznej. Wykonał je Marek K., gdy przyszła piosenkarka miała 16 lat. Szantażyści grozili, że jeśli nie dostaną pieniędzy, to sprzedadzą mediom pikantne materiały - pisze "Dziennik Łódzki".

Zostali zatrzymani w łódzkim hotelu Ibis przez Krzysztofa Rutkowskiego, do którego piosenkarka zwróciła się o pomoc. Film z ujęcia podejrzanych pokazały stacje telewizyjne. Oskarżonym, którzy odpowiadają z wolnej stopy i regularnie stawiają się w sądzie (na razie nie rozmawiają z dziennikarzami), grozi do trzech lat więzienia. Obaj nie przyznają się do winy. Kolejna rozprawa odbędzie się 22 sierpnia.

